PRZED ŚLUBEM I PO ŚLUBIE

CZYLI

DWA PRĄDY NASZEGO SPOŁECZEŃSTWA.

OBRAZEK DRAMATYCZNY

W DWÓCH ODDZIAŁACH,

5-ciu aktach, 2-ch odsłonach.

Rzecz dzieje się w roku 1830 na wsi pod Warszawą.

I-szy i II-gi akt w pałacu podczaszego Załomskiego,

III-ci i IV-ty w pałacu ordynata Zaborolskiego, V-ty w Warszawie.

Śpiewy można zmieniać stosownie do okoliczności.

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO.

1881.

Osoby w III., IV. i V. akcie.

Rzecz dzieje się dwa lata późniéj.

JENERAŁOWA TUROWSKA.
ZDZISŁAW, jéj syn.
JULIA, żona jego.
Hr. ALFRED ZABOROLSKI.
MARYA, żona jego.
MALWINA hr. GROCHOWSKA, siostra Alfreda.
JANUSZ hr. GROCHOWSKI, mąż jéj.
Książę GUSTAW OLIŃSKI.
LEON MIRSKI, przyjaciel Alfreda.
Hrabina NATALIA, przyjaciółka Malwiny.
ADELINA LEROIS, śpiewaczka.
JOLANTA, klucznica Maryi.
SYDONIA, żona kamerdynera, Francuzka.
DOKTÓR.
SŁUŻĄCY.

AKT I.

SCENA I.

Scena wystawia salon elegancki, w środku fotele stojące koło stołu, na którym leżą koszule, bandaże i szarpie, kanapa z boku, na niéj porozrzucane białe i czerwone ułańskie chorągiewki, jedna z nich duża i haftowana, drzwi w środku otwarte na balkon, po bokach widać ławeczki, w prawo i lewo sceny mniejsze drzwi.

OSOBY.

PAN PODCZASZY i PANI PODCZASZYNA.

Oboje poważnéj i przyjemnéj postaci, włosy siwe i pudrowane. Pan podczaszy trochę połysiały, pani z lokami, ubiory przeszłego wieku. Pan podczaszy w krótkich spodniach, frak obszerny czarny, westka biała z dużym żabotem, ma tabakierkę w ręku, po zażyciu otrzepuje żabot, oboje siedzą przy środkowym stoliku, pani podczaszyna w okularach skubie szarpie.

PANI PODCZASZYNA.

Cóż Jegomość mówi na to, co się dzieje? czegośmy się to jeszcze doczekali?

PAN PODCZASZY.

Abo to moja Jejmość Dobrodzika już niezwyczajna tego? A kto to za mężem płakał w 94-tym? Kto to posełał na msze święte do wszystkich miejsc cudownych, żeby Kościuszko zwyciężył, żeby mąż nie zginął i koniecznie z krzyżem powrócił!

PANI PODCZASZYNA
(trzęsie głową i uśmiecha się).

Nie zginął, z krzyżem powrócił! Modlitwy pomogły, Pan Bóg pobłogosławił!

PAN PODCZASZY.

No, widzi Asińdzka, że się wszystko dobrze skończyło! Potem nasza córka płakała tego czego dawniéj jéj matka płakała. Ale jéj jenerał to zupełnie co innego, on to dopiero po pięknéj muzyce i ślizgiéj posadzce tańczył na Berezynie!

PANI PODCZASZYNA.

Gdzie ona tam płakała, wcale nie płakała, tylko pojechała za nim, choć ręce i nogi marzły, zbierała i opatrywała rannych. (porusza głową) To mi kobieta z głową, to mi kobieta z sercem! A czy Waść myśli, że ona dziś swego jedynaka płacze? Żeby nie był poszedł sam, byłaby go z pewnością wypędziła!

PAN PODCZASZY.

Widzi Jéjmość.. „kto ma wisieć, ten nie utonie.“ Jenerała ani rany, ani pięćdziesiąt bitw nie zabiło, tylko choroba w łóżku zabrała!.. Przetrwał 94-ty, przetrwał 6-ty, 9-ty i 12-ty rok, mój Boże, czemuż nie dożył 30-go?!.. Ale teraz, wszystko mi się zdaje, że Jejmość Dobrodzika, (całuje ją w rękę) moja królowa Barbara, przytem wszystkiem co się dzieje, zapomniała, jaka to jutro rocznica?

PANI PODCZASZYNA.

Jegomość sobie żartuje ze mnie, a przecież ja już od 50-ciu lat zaczynam zawsze nowennę, która się kończy drugiego października w samych stróżów aniołów!

PAN PODCZASZY
(powstaje i chodzi po pokoju).

O! tak, tym to Stróżom Aniołom winienem moją dozgonną przyjaciółkę. Przyrzekłem im co rok w ten dzień u stopni tego samego ołtarza dziękować Bogu za moją panienkę, za moją Basię i świętą żonę!.. (Zbliża się do żony, przytulił głowę do piersi i otarł łzę z oczu).

PANI PODCZASZYNA.

Nie może Jegomość narzekać, jutro znowu ten

sam kapłan, u tego samego ołtarza będzie z tym samym Panem Jezusem czekał na nas.

PAN PODCZASZY
(chodzi i staje chwilami do rozmowy).

Ale, ale à propos, nie mówiłem jeszcze Asińdźce, jaką też miałem wczoraj miłą konwersacyję z panem Januszem. (kiwa głową) Gdzie on się też to takich herezyj nauczył?.. Od razu pyta mi się, „dawno też pan podczaszy ożeniony?“ a nie czekając odpowiedzi, mówi z głębokiem i smutnem westchnieniem „bo ja już pięć lat,“ a ja dopiero „pięćdziesiąt“ odpowiedziałem mu z uśmiechem!

PANI PODCZASZYNA.

Dobrześ Waszeć odpowiedział temu chłystkowi.

PAN PODCZASZY.

On na to daléj mówi „a to niepodobno? Jak też to pan podczaszy mógł te pięćdziesiąt lat z żoną wytrzymać? To tak nudno mieć zawsze żonę na karku.“ „Ja też mojéj nie mam na karku, tylko w sercu“ odpowiedziałem. Nie chciał wierzyć, żeśmy się nigdy nie rozłączali, że pod jedną kotarą i w téj saméj mieszkamy komnacie, zachowując zasady i zwyczaje rodziców. Roześmiawszy się na głos, szanowny ten młodzieniec,

powiedział: „A to też te zwyczaje i zasady muszą być śmieszne jak stare żurnale.“

PANI PODCZASZYNA.

Nie ma co mówić, grzeczny kawaler!.. Wiadomo, że matka jego wychowana „Pod Blachą“ na pensyi pani Vaubant (Woban) a syna zapewne oddała na wychowanie do loży masońskiéj.

SCENA II.

CI SAMI. PANI JENERAŁOWA. (Zbliża się i całuje rękę matki i ojca).

JENERAŁOWA.

Całuję rączki Mości Mamuni Dobrodzice i kochanemu Papie.

PANI PODCZASZYNA.

A czy nasza jenerałowa ma świeże wiadomości z Warszawy?

JENERAŁOWA.

Mam, Mamo Dobrodziejko, mam, promienieją nadzieją, wolnością i szczęściem, Zdzisław donosi, że jutro przyjedzie na kilka godzin; trzeba nam wszystko przygotować, (ogląda się) wszystko co będzie gotowe, zabierze ze sobą.

PAN PODCZASZY.

Pani jenerałowa taka wojenna, że zapomniała dzisiaj o mszy świętéj, albo może też zaspała? (Grozi jéj palcem.)

JENERAŁOWA.

Nie, kochany Papo, nie zaspałam i nie zapomniałam, muszę się przyznać do winy, odprowadziłam panienki do jeziora, gdzie dzisiaj wielkie rybołóstwo, pospolite ruszenie całego sąsiedztwa. Zaborol dostawił swój cały kontyngens, będą nasze panienki miały trochę rozrywki.

PANI PODCZASZYNA.

A cóż tam Zaborolowi po rybach, oni nigdy nie poszczą, post to jest stary żurnal; potem przyznam Ci się, że ja boję się tego rybołóstwa, tam pewnie nie chodzi o złapanie ryb z jeziora, chodzi tylko o jednę złotą rybkę, którąby chcieli na swoję złowić wędkę! A ja powiem Ci szczerze (kiwa głową), że nie lubię téj młodzieży, która ryby łowi, kiedy wszyscy się biją!

PAN PODCZASZY.

Nie chcę być nieposłusznym naszéj jenerałowy, ale Mamunia i Babunia Dobrodziejka mają wielką słuszność.

JENERAŁOWA.

Kochany Papo, jestem tego samego zdania, ale myślę, że pan Alfred dlatego jeszcze jest w domu, że administruje tak wielką ordynacyą, i mam przekonanie, że pod dobrym wpływem zupełnie mógłby się zmienić.

PANI PODCZASZYNA.

On jak on, ale pana Janusza i panię Malwinę, tych to Ci już daruję, to są kwiaty wyrosłe ze zgniłej cieplarni „Pod Blachą.“ Ich rodzice tańczyli Angleza z Niemcami, kiedy nasi krew' rozlewali we Włoszech i San-Domingo.

JENERAŁOWA
(całuje rękę matki).

Niech się na mnie Mościa Mamunia Dobrodziejka nie gniewa, ale oto i panienki już wracają.

SCENA III.

CIŻ SAMI — MARYA i JULJA
(Skromnie ubrane, Marya wchodzi prowadząc dwoje dziatek za rękę, ubogo ubranych i boso, późniéj wchodzi Julja prowadząc niewidomą staruszkę).

MARYA
(mówi ożywiono pod wpływem tego co doznała).

Kochana Mamo, zaledwoś nas opuściła, (całuje

dziadka i babunię w rękę) przepraszam, przepraszam kochaną Babunię i Dziadunia, ale taka jestem pomięszana i pod takiem smutnem wrażeniem, bo jak Mama od nas odeszła, to przybiegł zadyszany Mateusz, mówiąc, że siostra umierająca i ksiądz dysponuje ją na śmierć!.. My pobiegły tam czemprędzéj, dowiedziałyśmy się na miejscu, że mąż téj biedaczki poległ wczoraj w bitwie!.. O, Boże! trudno opisać tę rozpacz, okropny był to obraz! (zasłania sobie rękoma oczy.) Krótki odech zatrzymywał jéj mowę!.. była konająca!.. korzystając z wolniejszéj chwili, zaledwo zdołała wymówić „panienko... już nie mam męża.... Dzieci sieroty... matka niewidoma... o! święta panienko... pamiętaj o nich.“ Chciałam jéj głowę podnieść... a ona w téj chwili na mym skonała ręku. (Marya tuli głowę na matki ramieniu i płacze.)

JENERAŁOWA.

Poczciwe dziecko moje, Bóg Ci to wynagrodzi.

PANI PODCZASZYNA
(kiwa ręką na dzieci, żeby przyszły do niéj.)

Chdźcie tu, dziatki moje, chodźcie, dam wam pierniczków (głaszcze je po twarzy i wyjęła z kieszeni pierniczki, które dzieciom daje).

JULJA
(prowadzi niewidomą).

Tutaj, tutaj moja kobiecinko!

STARUSZKA.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

WSZYSCY.

Na wieki wieków. Amen.

DZIECI
(ujrzawszy babkę, biegną i tulą się do niej).

Babusia, Babusia!

STARUSZKA
(kłaniając się ręką do dzieci).

Jaśnie wielmożni, najjaśniejsi państwo, niech to nie będzie z urazą (i znowu się kłania) bo my ledwo co widzimy, oczy wypłakane!.. Wszystkich Bóg zabrał!.. (wyciera łzy fartuchem) Poco to człowiek żyje, kiedy córka i zięć w grobie.

PAN PODCZASZY
(wstał i klepie po ramieniu staruszkę).

Bóg was ciężko nawiedził, moja Babusiu, ale nie trzeba mu zazdrościć, daliście Panu Bogu to, coście mieli najlepszego!

STARUSZKA
(płacze).

Ona była taka święta, jak te święte na obrazkach

PAN PODCZASZY.

No, widzicie kobiecinko, Pan Bóg Wam dał znowu dwóch aniołów, którzy będą was karmić i pielęgnować. Chodźcie za mną, to Was dobrze teraz umieszczę. (Julja wyprowadza staruszkę, a Marya dzieci i wychodzą.)

SCENA IV.

PANI PODCZASZYNA — JENERAŁOWA później ALFRED i MALWINA.

JENERAŁOWA
(całuje rękę matki).

Widzi Mościa Mamunia Dobrodziejka, jakie poczciwe dzieci, ani im rybołostwo, ani towarzystwo w głowie, z pomocą Boską i Babuni ziarnko cnoty i miłości w nich zasiane, już się w piękny kwiat rozwinęło; doczekamy się może tego, że jak burze świata listki rozwieją, to znowu zostanie dla wnuków to nasienie, co babunia zasiała!
(Całuje matkę w rękę.)

PANI PODCZASZYNA.

Moja ty kochana urjańska perełko! (głaszcze ją i całuje w czoło.) My biedne matki i babki jesteśmy, można powiedzieć, pierwszem wychowaniem dziewcząt; jesteśmy tą oranżeryą, co hoduje kwiatki ciepłem swego serca, osłaniamy później skrzy-

dłami od zarazy, popsucia i zimnego prądu, jaki wieje z wielkiego świata. Ale cóż to pomoże (porusza głową), jeżeli taki nieskalany niczem anioł dostanie się od razu pod opiekę takiego męża, co drugie wychowanie zaczyna od popsucia zasad, oziębienia wiary i tą trucizną wytępia i zatruwa wszystko, cośmy zasiały!..

MALWINA

(wchodzi z bratem niespodzianie, w eleganckim rannym ubraniu).

Przepraszam łaskawe panie, że tak wpadam bez meldowania, pozwalam sobie to en voisine, z powodu żalu i niepokojów, których doznajemy. (Alfred kłania się z uszanowaniem — Malwina podaje rękę.)

PANI PODCZASZYNA.

Jakie to żale i niepokoje dają nam sposobność widzenia łaskawych sąsiadów? Żyjemy w czasach tak pełnych zdarzeń, że wszystko straszyć może!

MALWINA.

O! nie, nie! ja wcale nie mam na myśli teraźniejszych politycznych konfliktów, ani też les évenements belliquex, broń Boże! Grâce à Dieu nie jesteśmy wmięszani do nich!

ALFRED.

Pani Dobrodziejko, tu idzie tylko o dyspary-

cyję pięknych Świtezianek, elles nous ont fait faux bon, dezertowały tak raptem z naszego obozu.

JENERAŁOWA.

Łaskawy Hrabio, bo one mają swoje obozy, które wymagają dopełnienia obowiązków. Najprzód obóz sierót i chorych, potem obóz, w którym brat służy. Dziś właśnie gotujemy posyłkę chorągiewek i szarpi razem z piękną chorągwią, którą same haftowały dla czwartego półku ułanów. (Wskazuje ręką.)

PANI PODCZASZYNA
(biorąc szarpie do ręki).

To jest nasza robota, bo my starzy niczem innem przysłużyć się nie możemy ojczyźnie.

MALWINA.

Tout cela est charmant et tres édifiant, ale przyznaję się łaskawéj Pani, że tego pielęgnowania po chatach Mama nam nigdy nie pozwalała. Najprzód bardzo jest niebezne, potem c'est si sale! Przecie mamy, comme ouvres de charité, wszystkie kwesty po kościołach, loterye, wenty, które mają podwójny awantaż, on fait du bien et on deploie ses charmes, a łaskawéj Pani Podczaszyny wnuczki mają się czem pochwalić. (odwraca się do balkonu) Ale otóż one właśnie idą!

PANI DCZASZYNA
(już była się podniosła i mówi do córki).

A widzisz jakie to zasady, ja ich już mam dosyć i odchodzę!

JENERAŁOWA
(biorąc matkę pod rękę).

Ja Matkę Dobrodziejkę odprowadzę.

PANI PODCZASZYNA
(kłania się gościom).

Żegnam szanownych sąsiadów, idę zobaczyć jak moje wnuczki umieściły nowy inkwaterunek. (odchodząc spotyka Julję i Maryję) Kochane aniołki, właśnie idziemy z Matką lustrować Waszę załogę, czy dobrze rozkwaterowana.

MARYA
(całuje rękę babki).

Bardzo się cieszę, że Babunia zobaczy nowe mundury. (Pani Podczaszyna z Jenerałową odchodzą.)

SCENA V.

ALFRED — MALWINA — MARYA i JULJA.

ALFRED
(żywo mówi do Maryi).

Co to wszystko znaczy? Jaki inkwaterunek?

Jaka załoga? Jakie mundury? (Marya i Julja śmieją się).

JULJA.

Nie taka załoga, nie takie mundury o jakich Pan Hrabia myślisz.

MARYA
(smutno).

Są to ubogie dziateczki, które przed godziną Pan Bóg osierocił a matka, umierając na naszych rękach, oddała nam pod opiekę.

ALFRED
(zadziwiony).

Jakto i Pani tam sama była?

MARYA.

Właśnie nas zawołano do tego smutnego obowiązku, kiedy zabawa rybołówsta cotylko się zaczynała, (smutniéj), ale przyzna Pan Hrabia, że takie przyjemności mogą się powtarzać (porusza głową i mówi z uczuciem), ale śmierć... śmierć raz tylko wydziera sierotom matkę?... (Zasłania oczy rękoma) Okropny był to widok... Szczęśliwe jesteśmy, że choć trochę pociechy w téj ostatniéj chwili mogłyśmy tym biedakom przynieść?...

ALFRED
(pod wrażeniem tego opisu mówi do siebie).

C'est innoui, to musi być nadludzka siła du-

szy! albo anielska dobroć, car c'est trop cela!... Ona w swéj mowie miała coś natchnionengo, nadziemskiego i widać było, jak głęboko czuła tę boleść chociaż nie swoję. (Zamyślony.)

MALWINA

(zdejmuje rękawiczki i kapelusz, kładzie je na stół, potem bierze szarpie do ręki i siada).

Sprobuję i ja tej filantropijnéj zabawki.

JULJA.

To jest ulubione zatrudnienie babuni i dziadunia.

ALFRED

(do Maryi).

Głęboko zamyśliłem się nad tem, co Pani powiedziałaś i wyznać muszę otwarcie, że ja nie mam tyle odwagi co Pani.

MARYA.

Jakto Pan Hrabia rozumiesz? o jakiéj odwadze mówisz? (mówiąc zbliżyła się do kanapy, gdzie leżały chorągiewki, siada i składa jednę po drugiéj na swoich kolanach, hrabia odłożył kapelusz i laseczkę na krzesło, poczem usiadł przy Maryi).

ALFRED.

Mówię o odwadze chodzenia do konających, zdaje mi się, że na to trzeba mieć powołanie kapłańskie albo nadludzką siłę moralną!

MALWINA
(rzucza szarpie).

Wiesz Julciu, to nie jest przyjemna zabawka, ja wolę inną. (Wyciąga pudełko z cygarami z których jedno zapala).

MARYA.

Myli się Pan Hrabia, bo nie trzeba ani jednego ani drugiego, trzeba tylko serca i miłości bliźniej. (Hrabia podaje jéj chorągiewki.)

MALWINA
(do Julji).

A czy tu wolno palić?

JULJA.

Obcym wolno, ale nam Babunia i Mama palić cygar surowo zakazały.

MALWINA.

Kochana Julciu, tak solennie zawsze mówicie o zakazach waszéj Matki i Babki, jakby one były Bożem przykazaniem.

JULJA.

Dla nas istotnie są niem, bo każdą ich radę uważamy za ewangieliczną prawdę, która nas tylko do dobrego prowadzić może.

MALWINA.

C'es tsi beau, que c'est éffrayant! Idźmy lepiéj na balkon, może dym jest rzeczą naganną dla nowego czy tam starego testamentu! (Odchodzą i siadają przy drzwiach na ławeczkach).

ALFRED.

Pani przed chwilą mówiłaś, że do tak smentnych i przykrych obowiązków trzeba mieć w sercu miłość chrześciańską. A jeżeli kto ma całe swoje serce... (zatrzymuje się biorąc za serce) zajęte inną miłością, to wtenczas niepodobno dwom panom służyć?!

MARYA.

Nie rozumiem Pana pod tym względem. Ja kocham Babunię, Mamę, Dziadunia, Julcię, Zdzisława a jeszcze mnie coś porywa (mówi z zapałem) ilekroć ratunku i pomocy mojéj potrzebują albo ojczyzna, albo bliźni, którym mogę w czemkolwiek ulżyć!

ALFRED
(mówi z ożywieniem).

O! ja o takiéj miłości nie mówię, ja mówię o téj, która ogarnia wszystkie zmysły człowieka razem, w któréj się nic więcéj nie słyszy! nie widzi! i nie czuje, tylko to, co pochodzi od jednéj i téj saméj istoty!... (Mówi z powiększonym

zapałem i patrzy namiętnie na Maryję). Która to istota uszlachetniając serce i duszę unosi je tam, gdzie dopiero poznaje co jest piękne i co jest święte!... Taka miłość jest dla człowieka tu na ziemi życiem albo śmiercią!... Dla niéj chętnie się przez wszystkie poświęcenia i ognie tego świata przeszło, byleby poza niemi raj szczęścia i nieba osiągnąć!...

MARYA
(po chwili namysłu).

Niech się Pan Hrabia nie dziwi, że muszę zebrać myśli nad tem, coś powiedział. Tyleś położył wagi na jednéj istocie, tak ta istota ma mieć wielki wpływ na Twoje serce i Twoję duszę, że to chyba może być sam Stwórca! (unosi oczy w górę) albo, co najmniéj, jakaś święta, któraby godną była wzniecić te wyższe uczucia!...

ALFRED
(z rozczuleniem).

O! ma Pani słuszność! święta! Ale są święte na téj ziemi, które się za takie nie mają choć mogą wzniecić wszystkie te uczucia razem, i to nawet w zimnych i skamieniałych sercach! Pani mnie nigdy nie chcesz zrozumieć, gdy mówię, że ja taką świętą znalazłem i, że serce pełne zwątpienia i niewiary, którego żaden czysty ogień nigdy nie rozpalił!... dziś!... dziś przez tę niewiastę... gdzież tam niewiastę... przez dziecko raczéj,

może być nawróconem i zbawionem! (W zapale wziął ją za rękę, Marya przerażona wstała z kanapy i siada u stolika, cała pomięszana, biorąc szarpie do ręki, Alfred stanął przy niéj.)

MARYA.

Dawnom nie powina była słuchać, co mi Pan Hrabia mówisz. Najprzód że po części tych wszystkich uczuć nie rozumiem, bo nigdy o nich nie słyszałam; potem choć nie rozumiem, przeczuwam, że jest w nich rodzaj bluźnierstwa! Pan za wysoką wagę kładziesz na uczucia i szczęście téj ziemi. Usilnie proszę Pana Hrabiego, odtąd o tem wszystkiem już ze mną nie mówić, bo ja czuję się w obowiązku powtórzenia tego wszystkiego mojéj matce.

ALFRED
(z pospiechem).

O! i owszem, jeżeli Pani każe i raczysz mnie upoważnić, sam już miałem chęć mówić z panią jenerałową o moich głębokich uczuciach a dziś stanowczo oddam w jéj ręce całą moję przyszłość!

MARYA
(podnosząc ramiona).

Kazać nie mam prawa, rozkazywać wogóle nie umiem, dotychczas uczono nas tylko słuchać! Do dawania upoważnień nie mam żadnéj powagi, zależę całkiem od rodziców. Pan Hrabia jesteś

wolnym, możesz w tem wszystkiem robić jak Ci się podoba! (Kłania się i zbliża do balkonu.)

ALFRED
(niezmiernie pomięszany).

Co ja powiedziałem?... co to ja powiedziałem?... (bierze się ręką za czoło). Miotany jestem takiem nieznanem mi uczuciem, że sam się nie poznaję!... (Robi kilka kroków w prawo i lewo). Jakaś nowa siła mną rządzi!... jakaś ciemność i obojętność rozłącza mnie z moją przeszłością!... jakiś blask i pociąg porywa w nieznane upojenie!... Czy to być może, żeby takie dziecko?!... Jednakowoż, czuję, że od czasu, kiedy ją bliżéj poznałem, jakiś mnie ogarnął niesmak a nawet obrzydzenie od dawnego mego życia!... Nie mogę wytrzymać w domu, wymyślam co mogę, żeby ją widzieć! Gdy nie widzę jestem błędny! Gdy widzę, równie jestem jak błędny i czuję. że ona ze mną jak z człowiekiem, co jest w letargu, wszystko mogłaby teraz zrobić!... Walczę dawno ze sobą, ale dziś już stanowczo i z odwagą wyznam wszystko matce!... (Malwina, Marya i Julja wchodzą do pokoju, pierwsza bierze kapelusz i rękawiczki, hrabia również bierze laseczkę i kapelusz.)

MALWINA
(do Alfreda).

Co Ci to Alfredzie? jakiś jesteś pomięszany?

Widzę, że byłbyś złym aktorem, bo byle co tobą miota, a już nie umiesz ukryć tego na twarzy!

MARYA
(do Julji).

Moja Julciu, mam Ci coś ważnego do powiedzenia.

ALFRED.

Ach! mylisz się siostro, mówią „byle co!“ (porusza głową na znak negacyi). To nie jest byle co, moje położenie podobne jest do tego, co stoi w pojedynku i czeka, czy mu za chwilę serca nie przeszyją!...

JULJA
(z zadziwieniem).

Co to wszystko znaczy?

MALWINA
(lekko).

Kiedyś w takiem tragicznem usposobieniu, to idźmy się przejść na chwilkę do parku! (Zabierając się do wyjścia spotykają jenerałowę we drzwiach).

MARYA
(całuje rękę matki).

Jeżeli Mama pozwoli, odprowadzimy Panię Malwinę do powozu, co stoi pod parkiem?

JENERAŁOWA.

A owszem, życzę miłéj przechadzki.

ALFRED
(pomięszany, mówi do siebie ale tak, żeby go Marya słyszała).

To ja teraz zostaję. (głośno) Za chwilę będę służył Paniom! (zostaje, stojąc nieśmiało przy drzwiach).

JENERAŁOWA.

A Pan Hrabia nie idzie z temi Paniami?

MARYA
(odchodząc ostatnia, mówi z przerażeniem).

O! Boże! on już teraz będzie mówił z Mamą! a ja sama nie wiem jeszcze, co się ze mną dzieje?

SCENA VI.

JENERAŁOWA i ALFRED.

ALFRED
(nieśmiało.)

Nie poszedłem z temi paniami, bo chciałem prosić Panię Jenerałową o krótkie posłuchanie!

JENERAŁOWA
(do siebie.)

Jakiś mnie niepokój ogarnia i serce mocniéj bije! (do hrabiego) Owszem, owszem, proszę siadać (siadają na fotele, jenerałowa do siebie.) Ja już dawno coś przeczuwałam.

ALFRED
(zawsze nieśmiało.)

Daruje mi z pewnością pani Jenerałowa moje pomięszanie, gdy się dowiesz o celu méj rozmowy, ale nie wiem, czy mi pani darujesz śmiałość i odwagę mojéj prośby?..

JENERAŁOWA·

Pan masz prośbę do mnie?

ALFRED.

I wielką, łaskawa Pani!.. Odwołuję się do dobroci i czułości niewieściego serca, żeby zrozumiało i uwierzyło, że dziś moje serce potrafiło się wznieść do téj wysokości, gdzie tylko czysta i święta miłość panuje. Niech zacna Pani zechce mi uwierzyć, że od chwili, kiedy poznałem tyle cnót w jéj córce!.. ja, dawny niedowiarek, co dzień klękam przed Stwórcą, żeby mi takiego stróża anioła przeznaczył, a teraz klękam przed Tobą Pani, (składa do prośby ręce) niech tym aniołem będzie dla mnie panna Marja!..

JENERAŁOWA.
(do głębi wzruszona),

Raptowne i niespodziane to zeznanie Pana Hrabiego odejmuje mi chwilową przytomność. (bierze się ręką za czoło) Chcę wierzyć w szczerość uczuć, które moja córka mogła wzniecić w Tobie Panie, ale nie mogę na nie odpowiedzieć, dopóki nie zasięgnę rady całéj mojéj rodziny i córki!

ALFRED
(całuje rękę jenerałowéj.)

Szanowna Pani masz w swoim ręku zbawienie, albo potępienie tego, którego przed sobą widzisz! Bóg i Panna Marya natchnęli mnie świętem uczuciem, a wchodząc na drogę cnoty całe me życie poświęcę, aby ją uszczęśliwić!

JENERAŁOWA.

Proszę pana Hrabiego o kilka godzin namysłu, mam nadzieję, że Bóg natchnie nas szczęśliwem postanowieniem, a jakiekolwiek ono będzie (podaje mu rękę, którą Alfred całuje) dzisiaj jeszcze piśmiennie doniosę Panu Hrabiemu.

ALFRED.

Całe moje szczęście składam w ręce Pani Jenerałowéj. (Kłania się i odchodzi.)

SCENA VII.

JENERAŁOWA sama, potem PANI PODCZASZYNA i KANONIK.

JENERAŁOWA
(mocno pomięszana).

O, Boże! co za piorun niespodziany! nie mogę przyjść do siebie!. Nic nie wiem czy Marynia będzie mu życzliwą, ona taka młoda, że sama ze swojemi uczuciami nie będzie umiała się obrachować! (wchodzi zwolna pani Podczaszyna prowadzona przez brata kanonika).

KANONIK.

Prowadzę jutrzejszą jubilatkę!

JENERAŁOWA
(całuje matki rękę).

Kochano Mamo Dobrodziejko!

PANI PODCZASZYNA.

Cóżeś Ty taka pomięszana? Zdaje mi się nawet, że Ci się ręce trzęsą? (trzyma rękę jenerałowéj w swoich).

KANONIK.

Oho! i łzy w oczach! Cóż to takiego?

JENERAŁOWA
(pomięszana).

Kochany Wujaszku Dobrodzieju, powiedziałabym zaraz i powiedzieć muszę, ale boję się Mamy Dobrodziejki! (całuje matkę w rękę).

PANI PODCZASZYNA.

A czy to Mama jest strach na ptaki?

JENERAŁOWA
(wahając się).

W téj chwili... hrabia... Alfred oświadczył się i prosi o rękę naszéj Maryni!

KANONIK
(wesoło).

A to nie widzę czego płakać?! To przecie nie jest nieszczęście!

PANI PODCZASZYNA
(żywo).

Otóż, on jest strach na ptaki, bo strach prawdziwy dla naszéj ślicznéj gołąbeczki!

JENERAŁOWA
(całuję rękę matki).

Mamo, co tu robić?

PANI PODCZASZYNA
(żywo obracając głową).

Mnie się nie pytaj, bo ja bym z góry krótko i węzłowato moje zdanie powiedziała!

JENERAŁOWA

Ja nic o tem nie powiem Maryni, póki my wspólnie nie postanowimy, coby mogło być źle a co dobrze? Czy odmówić, czy przyjąć?

KANONIK
(grozi palcem).

O! nie grzeszcie, nie grzeszcie moje dzieci, co Bóg dał, to bierzcie!

PANI PODCZASZYNA.

Nie wiedzieć co Asindzi bratunio mówi, Aść nie wiesz, jaki to bezbożnik, jaki rozpustnik, co to za życie jego! Aktorki! Mężatki! niech Bóg broni co mówią.... (bierze się rękoma za głowę).

KANONIK
(kiwa ręką na znak uspokojenia).

Natoś siostro dobrodziko anioła wychowała, aby go nawrócił. Pan Bóg zawsze tak dobiera, daje poczciwych i świętych tam, gdzie trzeba przykładu i naprawy!. Nie ma czego kaprysić i nie trzeba odmawiać!

PANI PODCZASZYNA
(rozdraźniona).

A ja Asindzi mówię, że ona go nie nawróci, a on ją popsuje, będzie ją Aść miał na sumieniu, jak nie będzie szczęśliwa! Ja już znam dobrze tę turkaweczkę, oni ją zagniotą jak robaka, a wszystko co było nasze pójdzie w las!

JENERAŁOWA
(całuje matkę w rękę).

Kochana Mamo Dobrodziejko, idźmy jeszcze do Papy zasięgnąć jego rady, potem i Marynię sprowadzić musimy, a wuj i kanonik westchnie jeszcze, żeby Bóg jego usty przemówił!

PANI PODCZASZYNA
(podaję rękę kanonikowi).

Już mi to Asindzi nie wyperswaduje, żeby popsuty młokos umiał żonę drogą cnoty prowadzić! (Wszyscy wychodzą).

SCENA VIII.

MARYA i JULJA później JOLANTA.

JULJA.

Rozumiem kochana Maryo Twoje niepokoje i pomięszanie, hrabia Alfred istotnie posiada

wszyskie warunki, jakie wielkiemu światu mogą się podobać, ale... ale....

MARYA.

Otóż to te „ale!“... (zamyślona) Ale ja go się boję!... On mnie już dawno obsypuje gradem komplementów, a teraz znowu wynurzeniem jakichś dziwnych uczuć i zapałów, które mi więcéj sprawiają przerażenia, niż przyjemności!

JULJA.

Biedna moja Maryniu! a wieleż to kobiet zazdrościłoby Ci tych wyznań i Twego dzisiejszego położenia!

MARYA
(Biorąc Julję w pas).

Ja, kochana Julciu, gdybym pragnęła być kochaną, chciałabym, żeby mnie tak kochano, jak Ciebie mój brat kocha!

JULJA
(z rozczuleniem).

O! tak moja droga, nasze życie jest złączone, jak dwa kwiatki w jednéj doniczce wyrosłe! Nasza miłość, to jak dwa czyste źródła, które obok siebie cicho płyną i gdzieś tam łączą się razem w jeden bieg i to na wieki!... Nasze uczucia i pragnienia są tak jednakie, że nie potrzebujemy

słów, żeby jedno wiedziało co drugie czuje i czego pragnie. (z zwrastającym zapałem) Wiem i mam przekonanie, że późniéj w ściślejszym związku w dwóch naszych sercach jedno tylko będzie bicie!...

MARYA
(z rozczuleniem).

O! niech Ci go Pan Bóg szczęśliwie przeprowadzi przez tę niebezpieczną choć chluby pełną drogę, żeby z pod sztandaru ojczyzny powrócił Ci pod strzechę domową a późniéj podpierał na trudnych i krętych drogach naszych niewieścich obowiązków. (Całuje Julję; służąca wchodzi.)

JOLANTA.

Pani jenerałowa i pani Podczaszyna proszą panienki do siebie, bo jakieś są ważne sprawy.

MARYA.

Idziemy, idziemy, o mój Boże! to pewno te o których cotylko mówiłyśmy. (Wychodzą.)

SCENA IX.

JOLANTA późniéj SYDONIA.

(Jolanta chuda, niemłoda, skromnie ubrana, Sydonia świeża, młodsza, ubrana pretensyonalnie ma kapelusz i parasolkę.)

JOLANTA
(porusza głową).

Coś się tam u nas dzieje! Niech się dzieje co się dzieje, byleby było na chwałę Panu Bogu! Wszyscy zebrali się na jakąś radę... tyle tam świętych dusz, miejmy nadzieję, że duch święty ich natchnie!

SYDONIA
(wchodzi na palcach, ogląda się w koło i spostrzega Jolantę).

A to właśnie chciałam widzieć pannę Jolantę, samą, nie wejdzie tu kto teraz?

JOLANTA
(mówi do siebie).

A co też przyprowadziło do nas tę francuzkę? (głośno do Sydoni) Myślę że nikt, bo państwo mają jakąś familijną naradę, są w pokoju pana Podczaszego, gdzie jest nawet ksiądz kanonik.

SYDONIA
(mówiąc zawsze żywo i namiętnie).

A ja Ci powiem, ma mignonne et adorée sainte Jolante, że ja wiem jakie to są narady i po to właśnie przyszłam, żeby Ci powiedzieć, abyś przestrzegła swego archanioła, aux ailes blanches, że nic z tego nie będzie, nikt inny w Zaborolu nie będzie rządził tylko ja! wskazuje ręką na siebie) Pas si bête, jak tam stoji w waszem

piśmie świętem, ja niesprzedam moich praw starszeństwa, pour une poignier de lentille!

JOLANTA
(spokojnie).

Ja wcale nie rozumiem pani o co jéj chodzi? ja się nigdy nie wdaję w narady mojego państwa, jedno co robię, to jest to, że się modlę, aby Bóg szczęśliwie ich natchnął!

SYDONIA
(z niecierpliwością podnosi oczy i ramiona do góry).

O! quelle est bête, comme une cruche, il faut lui dire carement la vérité, otóż powiem pannie Jolancie, że pan Janusz, co nic nie ma skrytego przede mną, powiedział mi, że naszego pana hrabiego łapiecie do waszych panien, a ja wiem dobrze, że on wcale nie potrzebuje żony! nie potrzebuje nikogo, mój mąż jest kamerdynerem, jak drugiego niema, wszyscy wiedzą, że był u marszałka Brońca i u księcia Zajączka. (na boku) Ce qui ne l'empêche pas d'être un imbeciele et un cornichon. Mówię Pani, że ja rządzę wszystkiem i wszystkimi i to jeszcze, à la baguette, (i pokazuje mimiką, okręcając parasolik.)

JOLANTA
(spokojnie.)

Przecież i mnie moi państwo oddali zarząd domu, a ja właśnie bardzobym sobie życzyła, żeby

pan Zdzisław chciał się żenić i, żeby nam młoda pani pałac rozweseliła!

SYDONIA.

Quelle poule moullée! moja panna Jolanto, najprzód u nas wcale nie smutno, tu, to co innego, bo zupełnie jakby w klasztorze, u nas nikt nie rządzi naszemi czynami i nie dysponuje sumieniem i dla tego wszyscy szczęśliwi; tak, tak, moja święta panno Jolanto! (klepie ją po ramieniu, potem mówi na boku) Mais á vrai dire, quand on rés femble á un levrier malade, on peut commencer à être sainte.

JOLANTA
(do siebie,)

A! to tam musi być pięknie! A to gniazdo farmazonów! ja już tego nie chcę ani widzieć, ani słyszeć! (zatyka sobie rękoma uszy, potem odwraca się do Sydonii) Moja Pani, co tam jest, to jest, ale zawsze najlepiéj oddać to woli Bożéj.

SYDONIA
(z determinacyą).

A jak Pan Bóg nie chce tak, jak ja chcę? (Jolanta podnosi ramiona do góry, na znak, że już nie wie co odpowiedzieć) Tymczasem ma pani racyję, ja początkowo przyszłam to powiedzieć z determinacyą, że albo ja, albo wasza pani będzie panią... ale po dojrzałym namyśle, widzę, że nie

ma gwałtu, mogą być i dwie panie, jedna święta, druga nie święta! Powiedz téj twojéj, ma toute belle, (bierze ją ręką pod brodę) jeżeli chce być koniecznie świętą, to my się już o to postaramy, nous saurons la canoniser! (kłania się ręką przesadnie) Au revoir! Adieu! (Odchodzi).

JOLANTA
(ogląda się za nią).

A to dopiero czarownica! a to jędza z paryzkiego piekła! a cóż ją też tu za Lucyper przyprowadził!.. Ja nikomu nie powiem o téj wizycie. (kładzie dwa palce na usta.) „Jestto cnota nad cnotami, trzymać język za zębami.“ (Odchodzi.)

KONIEC AKTU I.

AKT II.

SCENA I.

(Teatr reprezentnje salon z widokiem na ogród, trzy są duże, otwarte drzwi czyli arkady, na obszerny balkon, w ogrodzie widać kościół; w salonie kanapy, fotele po bokach, środek sceny próżny, ogrodowczyki opinają girlandy, przynoszą bukiety do wazonów, stary służący we fartuchu zamiata.)

JAKÓB, służący — OGRODOWY z Zaborola — KUCHMISTRZ, wesoły i jowialny — Młody SŁUŻĄCY — i ROZALIA.

JAKÓB
(do ogrodowczyków).

Śpieszcie się, śpieszcie chłopaki, bo to będzie dzisiaj dubeltowy kiermasz... tutaj coś się dzieje... już ja tu coś wytropiłem... stary sługa, to jak stary wyżeł, zaraz zwierzynę poczuje... (zamiata i chwilami przy mówieniu staje.) Bodajnie piękny jeleń przeleciał przez naszę granicę i w tutajszą łapkę się złapał! (śmieje się głośno).

ROZALIA
(niesie na tacy szklanki z wodą i flaszeczkę z kroplami pomarańczowemi).

No, Jakóbie, komotrze, jak się tam dziś spało?

JAKÓB.

A co to tam panienka niesie? ja muszę wszystko wiedzieć!

ROZALIA.

Krople z pomarańczowych kwiatów, doskonałe lekarstwo na osłabienie nerwów.

JAKÓB
(bierze flaszkę i wącha).

Pfe! to takie mdłe! na osłabienie to najlepsze te krople z Gdańska, (pokazuje palcami) co to tak w nich lata i pływa złotko, te nie są mdłe i zaraz się człowiek czuje na nogach!

ROZALIA
(śmiejąc się, klepie go po ramieniu).

Albo też zostanie bez nóg i bez głowy! ale co się tam Jakób zna na nerwach, to nowe słowo wymyślili bardzo mądrzy ludzie, a teraz muszą do niego wyszukiwać choroby! Rozumie Jakób?

JAKÓB
(kręci głową).

A niech mi też panienka powie, gdzie siedzi ta nowa choroba?

ROZALIA.

To tak różnie, czasem w głowie, czasem w sercu drga i bije, a ja dawniéj miałam jednę panię, co miała tę chorobę w prawym ręku. (śmieje się.)

JAKÓB
(kiwa głową).

A to dziwne... moje jaśnie panie i pani podczaszyna nigdy za mojéj pamięci nie chorowały na te „narwy“!

ROZALIA.

Widzicie mój Jakóbie, dawniéj, jak my nie byli cywilizowani, to było inaczéj, kiedy była jaka pani niecierpliwa, to my trzasnęli drzwiami a za drzwiami powiedziało się „a niech ją tam nie znam, co za chimeryca“ albo jak były kaprysy i złości, to w garderobie aż grzmiało od wrzasku, jedni mówili „a niech ją tam jasne“... drudzy „a niech ją tam wszyscy“... ale teraz to inaczéj, to właśnie wtenczas musimy mówić „cicho, cicho, bo jaśnie pani dziś bardzo nerwowa!“

JAKÓB

O! nasze panie to nie takie, to je Bóg prosto z nieba nam zesłał!

ROZALIA.

To prawda, prawda, bo one się tylko modlą

i płaczą, dzisiaj to całą noc tak było, czy wy wiecie Jakóbie, że wczoraj wieczorem to była wielka narada, wszyscy państwo razem pisali!

JAKÓB
(zdziwiony).

Jakto? wszyscy razem pisali?

ROZALIA.

Głupstwa gadacie! oto konceptów dodawali, wszyscy, potem zaniosłam list do stajni i Walenty na siwce pojechał do Zaborola, a na liście było napisane „a musje, musje kont Oliński“ a potem wszyscy pośli w kąty i okropnie płakali. (słychać dzwonek) Idę, idę! (odchodzi).

JAKÓB
(kiwa głową).

Bo też te nasze panie, to o byle co płaczą, nieraz jak kogo witają płaczą, jak co czytają płaczą!... a bywało nawet, że śpiewają przy fortepianie i jak Boga kocham znowu płaczą... (kiwa głową) Ta moja... to tylko płacze, jak kapusta zmarznie, jak kura na jajach zdechnie... to już jest czego płakać i taka ją mangolja weźmie, że ani śpi, ani je; a jak dopiero krowa zachoruje, to koniec świata!... to się wszyscy na wszystkie strony rozlatują!... dzieci muszą klęczeć i modlić się, świeczki u wszystkich obrazów

muszą się palić! babusia gotuje święcone zioła na kominie, chłopiec leci do księdza proboszcza, ho! ho! ho! co się to dzieje! ale nasi jaśnie państwo, to nic nie robią tylko płaczą i tak sobie nie umieją dać rady jak my. (Kucharz przebiega z rądlami w ręku, za nim panna Jolanta z pękiem kluczy, potem kawiarka z kawą na tacy.)

OGRODOWY
(wchodzi z bukietem, który późniéj kładzie na stół, uderza Jakóba niespodzianie w ramię).

Jak się macie, panie bracie i komotrze dobrodzieju?! Wielka nowina nad nami wisi (pokazuje palcem w czoło) „mądréj głowie dość dwie słowie.“ Oto nasz pan hrabia kazał mi zrobić bukiet (pokazuje) z samych pomarańczowych kwiatów i to dla waszéj panny jenerałowny!

JAKÓB.

A to jak Boga kocham, właśnie te same kwiaty, co mówiła panna Rozalia, że są bardzo dobre na tę nową chorobę, co się nazywa „narwy“ jak tylko się kto zmartwi, albo rozgniewa, to podobno zaraz jéj dostaje, a wtenczas trzeba to ziele pić.

OGRODOWY
(śmieje się).

No, to u nas ta choroba dziś panuje, bo istny sądny dzień i koniec świata! tyle krzyku, tyle

wrzasku robi francuzka, dobrze, że mąż schował się aż do sklepu, bo byłby z pewnością oberwał, pan hrabia chciał jéj grubo zapłacić i odesłać, ale gdzież tam, to wielkie jest komoterstwo z panem Januszem i on wyperswadował, że bardzo potrzebna, bo niby taka młoda pani... to wy wiecie... (podnosi ramiona) jakto powiedzieć?... z początku (mówi do ucha) jest, krótko powiedziawszy, gapa i nic nie umie i niczego się nie domyśla, a Francuzka, to ma łeb na karku i ciągle coś tam szwargotała i powtarzała, że ona to nie jest „**bet**“ lecz wasza pani, to jest „**bet**“!...

JAKÓB
(porwał się w złości).

A to proszę! jeszcze tego trzeba!... ta niecnota, ten obleci świat, ma mówić, że nasza pani jest „bet“!... ona sama stary bet!... ino ja dopadnę pręta (podnosi rękę do góry) a zacznę ją trzepać, to aż będzie się z niéj kurzyć a nareszcie ją samę wykurzę, jeżeli się mojéj pani nie umknie z drogi!

KUCHARZ
(wraca z rądlami, bierze Jakóba w pas i ciągle wesoło mówi).

No, Jakóbie, dziś będziemy mieli w czubie, bo dziś nie czernina! ale zato dawaj wina! dzisiaj będą szodony, galarety i pasztety!

OGRODOWY
(na boku).

O! co pasztety, to pasztety!

KUCHARZ

A widzicie, przyjacielu, kiedy w sercu radość! to wszystkiego musi być za dość! jakto kiedyś bywało u księcia Zajączka jak my byli razem z Ćwikłowskim, człowiek brał a brał, co tylko chciał, a francuzice o nic się tam nie pytały.

OGRODOWY.

A prawda, prawda, pan kuchmistrz znał naszę jaśnie panią Ćwikłowską!

KUCHARZ.

I jak znałem!... i mnie też ten sam honor (kłania się beretem) miał spotkać, co pana kamerdynera, ale ja nie taki głupi; raz przysłała po mnie sama księżna!... ale ja już się do myślałem po co, (z energią i mimiką przebiera nogami) takiego też dałem drapaka i tak jak stałem w czwał co ducha uciekałem aż za rogatki! tam się obejrzałem dopiero, czy mnie już francuzka widzieć nie mogła i wtenczas to właśnie Ćwikiełkę złapali!... A teraz komotrze (uderzył Jakóba w ramię) na pamiątkę tego strachu dawaj kieliszek wina!

JAKÓB.

Dobrze, dobrze, a pana ogrodowego poczęstu-

jemy za ten piękny bukiet i wypijemy na pomyślność tego wszystkiego, co się teraz dzieje!

KUCHARZ.

A więc na pomyślność tych co się dzisiaj kochają i biją! niech żyją!... (podnosi beret do góry i wychodzą).

SCENA II.

MARYA potem ALFRED późniéj JENERAŁOWA.

MARYA

(cała w bieli, w rannym ubiorze, z białą różą we włosach, wchodzi wolno i spostrzega na stole bukiet, siada na fotelu).

Ach jaki śliczny bukiet! (ogląda) same pomarańczowe kwiaty, czyjaby to była myśl? O! mój Boże.... to pewno już on!... co ja pocznę, jak go obaczę?... co się ze mną dzieje?... wczoraj wszystkie głosy były za nim, jedna tylko kochana babunia była przeciwną!... Cóż miałam robić?... nie mogę powiedzieć, żebym miała wstręt do niego... przemodliłam i przepłakałam noc całą, a teraz jakoś mam więcéj odwagi!... Czuję jakiś spokój, co mnie ogarnął, jakżeby sam Pan Bóg wlał w moje serce jakąś życzliwość i jakieś nieznane uczucie, które zdaje się mówić „on tobie jest przeznaczony“... Ale, ale, o Boże! (ogląda się w około) czy ja mam to wszystko, co tak kocham,

opuścić?! i niby na zawsze tych wszystkich, co mnie tak kochają!... to jest okropne!... (opuszcza się z fotelu i na pół klęcząco, opiera łokciami na stole, zakrywając rękoma oczy.)

ALFRED
(ścicha wchodzi i stoi przed Maryą, jakby w ekstazie... chwila milczenia, potem zbliża się do niéj i klęka przed nią).

Maryo! Maryo! czyś Ty aniołem, czy kobietą? (Marya chciała powstać, Alfred ją zatrzymuje i klęcząc u jéj nóg mówi) Nie! tak niech Ci podziękuję, bo tak tylko Bogu i Tobie mogę składać dzięki za tyle szczęścia, które mnie odurza i oniemia!... (całuje jéj rękę, którą Marya opuściła na łonie... chwila milczenia.)

MARYA
(wstaje).

Musimy w tem wszystkiem widzieć wolę Boga!.

ALFRED
(stojąc w środku sceny, trzyma Maryi rękę w swoich).

Maryo!... czy to być może?!. Ty będziesz moją!... czy ja mogłem o tem marzyć?... czy jestem godzien tego szczęścia?!...

MARYA
(pomięszana ale spokojna).

Tylko rodzice i Bóg mogli mi dać odwagę do stanowczego postanowienia, bo tylko w wypełnie-

niu najświętszych obowiązków znajdziemy stałe i niezachwiane szczęście małżeńskie, którego Pan zapewnie pragniesz.

ALFRED
(z zapałem).

O! już nie pan! ale sługa! poddany téj, co mnie na drogę cnoty nawróciła! téj, co mojem sercem będzie władać i całem życiem rządzić!.. (całuje czule Maryi ręce, w téj chwili ukazuje się za drzwiami jenerałowa, Alfred zbliża sią do niéj i po ukłonie pełnym powagi mówi) Pani, jakiemi słowy mam przemówić?... kiedy... wypowiedzieć nie jestem wstanie, co serce me czuje...

JENERAŁOWA
(mocno wzruszona, ale z godnością podaje rękę Alfredowi który ją z zapałem całuje).

Dziś już nie jesteś, Panie, obcym dla nas, więc bez ogródki podałam ci rękę, na której wypiastowana dozgonna Twa przyjaciółka. (jenerałowa i Marya ocierają łzy) Ona musi słodzić gorzkie dni Twego życia, a Ty, Panie, musisz ją wspierać męzką siłą Twego ducha, kiedy niewieścia słabość będzie potrzebowała Twojéj podpory!

ALFRED
(z rozczuleniem i zapałem).

Siła duszy męzkiéj, kiedy jest siłą, to nią jest

tylko wtenczas, gdy od kołyski czerpała przykłady w takich zdrojach i w takich skarbach jak te co mam obecnie przed oczyma! (całuje z uszanowaniem rękę jenerałowéj.)

JENERAŁOWA.

Ale mam nadzieję, że pan hrabia nie zapomniał i dotrzymasz warunków, które cała rodzina nasza położyła do dzisiejszego zezwolenia.

ALFRED
(z godnością).

Nie zapomniałem i dotrzymam z największem poświęceniem i wdzięcznością, bo téj to zacnéj rodzinie będę winien namaszczenie jednego z najświętszych obowiązków.

SCENA III.

(Wchodzi Pan Podczasy w galowym ubiorze z wstęgą i gwiazdą świętego Stanisława, pani Podczaszyna w jasno popielatéj sukni, w białym czepku, oboje mają mirt przy piersi.)

Ci sami PAN PODCZASZY, — PANI PODCZASZYNA, później MALWINA i JANUSZ.

JENERAŁOWA
(całuje ręce rodzicom).

Kochana Mamo Dobrodziko i kochany Papo,

pan hrabia Zaborolski tak wcześnie przyszedł, aby jak najprędzéj dostać od rodziców potwierdzenie i zezwolenie na wczorajszą prośbę, ja najuniżeniéj i najpokorniéj proszę Babkę i Dziadka za niego i Maryę, aby ich zamiar raczyli pobłogosłowić. (Bierze za rękę hrabiego i Maryą, którzy przyklękują przed rodzicami, pani Podczaszyna nie bardzo czule i chętnie, ale błogosławi.)

PANI PODCZASZYNA.

A teraz, pamiętaj Asindzi, (grozi mu palcem) żebyś mi ją uszczęśliwił, a broń Boże nie wywoził na ten wielki i popsuty świat, pamiętaj Aść, to co moja nieboszczka matka powiedziała panu Podczaszemu, gdy mnie oddawała temu mojemu opiekunowi. (wskazuje na męża) Otóż powiedziała: „pamiętaj młodzieńcze, że kotka i żona to do domu przeznaczona.“

PAN PODCZASZY
(ściska serdecznie hrabiego).

A ja teraz życzę kochanemu hrabiemu a przyszłemu mojemu wnukowi, żeby był tak szczęśliwy ze swoją Magnifiką, jak ja byłem przez lat pięćdziesiąt z moją!... (w téj chwili wchodzi Malwina i Janusz, który kłania się poważnie, Malwina wszystkim rękę podaje.)

MALWINA.

Pozwolą łaskawi państwo, żebym w imieniu

całéj rodziny złożyła podziękowania, za względy, jakich mój brat doznał w zacnym Ich domu; będziemy umieli cenić ten klejnot oddany do naszego skarbu. (Caluje Maryą). Kochana Maryniu, niedługo bratowa i siostro, zapełnisz próżnią mego serca, która na Ciebie czekała!

JANUSZ
(podaje z uprzejmością rękę Maryi).

Szczęśliwy Alfred!... ktoby jego śczęścia nie zazdrościł?!

PANI PODCZASZYNA
(wyciąga flaszeczkę z święconą wodą z kieszeni, mówiąc na boku.)

Przy nich trzeba mieć zawsze święconą wodę, aby odżegnać ich myśli, ich mowy a szczególniéj ich komplementa!

MALWINA
(do pana Podczaszego).

Pan Podczaszy podobno oczekuje dzisiaj wnuka? le chevalier sans peur et sans reproche!

PAN PODCZASZY.

Tak jest, Mościa Dobrodziko, jestto wielkie szczęście dla mnie, że Bóg dozwolił, moim siwym włosom doczekać wnuka, który walczy pod narodową chorągwią; dostał urlop, ale tylko na kilka godzin.

MALWINA.

Na tak krótko!

PAN PODCZASZY.

Tak, na bardzo krótko, bo co dzień nieomal bywają utarczki koło Warszawy. Ale otóż i on! (Zdzisław wbiega niespodzianie).

WSZYSCY.

Zdzisław!

SCENA IV.

Ci sami — JULJA — ZDZISŁAW (w mundurze ułańskim, przy pałaszczu, z krzyżem na piersiach, rzuca się z zapałem i całuje ręce babki i dziadka, potem pada w objęcie matki i siostry, witając innych ręką, Julja z wielkiem rozczuleniem całuje Maryą.)

PANI PODCZASZYNA (patrząc na Zdzisława).

Moje śliczne dziecko Bóg cię od śmieci zachował!...

ZDZISŁAW (mówi z zapałem).

Matko! szczęśliwy kto dożył, żeby to widzieć, co ja widziałem!.. ale jak mi też serce biło, kiedym ujrzał z dala topole i pałac; skręcając potem

konia, wpadłem cwałem w aleję kasztanów, w szybkim pędzie zdawała mi się długą zieloną ulicą, w końcu któréj ujrzałem ganek, (z rozczuleniem) a na nim białą postać, która chustką powiewała! ta postać przy zbliżeniu zamieniła się w mych oczach w cudowną białą liliją, co powiew szczęścia pochylił nad gankiem, aby ręką witać narzeczonego! (odwraca się i podaje rękę Julji.)

JENERAŁOWA.

Kochany Zdzisławie, teraz muszę ci zaprezentować drugą szczęśliwą parę, (bierze hrabiego i Maryą za rękę) która się do sankcyi brata zbliża.

ZDZISŁAW
(zadziwiony, podaje ręke Alfredowi).

Co słyszę? Alfred uwierzył, że zamęzcie i kobieta może mężczyznę uszczęśliwić?.

ALFRED.

O taka kobieta!. może uszczęśliwić! (całuje rękę Maryi.)

MALWINA.

Pan Zdzisław, la perfection en tout, dał mu dobry przykład, nous sommes des riens, des athomes, przy tak wielkich ludziach!

JANUSZ
(bierze Zdzisława w pas).

Nasz kochany Zdzisław to będzie un Thuren-

ne, un Bayard! słowem, naszym przyszłym hetmanem, następcą Chodkiewiczów i Czarnieckich.

ZDZISŁAW
(śmiejąc się).

Dotychczas zaledwo ich giermkiem!

PAN PODCZASZY.

Ale powiedz nam też, kochany wnuku jakeś się to Aść dosłużył tego krzyża na tak młodych piersiach?

ZDZISŁAW.

Jeżeli Dziadunio Dobrodziéj każe!..

ALFRED
(z żywością).

Dziadunio każe, a my o to bardzo prosimy.
(Damy usiadły, Janusz i Alfred stoją na srodku sceny, przy Zdzisławie, opartym na pałaszu.)

ZDZISŁAW.

Zaledwo zaświtał ranek, rekonesans wysłany, zameldował w głównym sztabie, że w sąsiedniéj wsi, za laskiem, gromadzi się nieprzyjaciel. Jenerał i adjutańci rozłożyli mapy; lasek był przed nami, samym jego środkiem szła szeroka, prosta droga po wsi. Jak do niéj dojść, czy prosto, czy w około? czy bój stoczyć przed, czy za laskiem? to było ważnem strategicznem zadaniem!

Podczas tych narad, dał się słyszeć ogień tyralierów, patrole nasze zaczęły się ściągać i donosić, że nieprzyjaciel już się zbliża! Jenerał orgaganizuje i skupia siły! adjutańci przebiegają w lewo i prawo!... już w karre batalion piechoty gęsto i ściśle ustawiony w samem centrum wojska... Wódz, lewe skrzydło rozciąga po nad borem, (pokazuje ręką) w tem nagle, niespodzianie armaty jękły!... jedna kula za drugą uderza w sam nasz środek. Nieprzyjaciel tu i owdzie wciska się do boru, chcąc uderzyć na lewe nasze skrzydło!... Niestety! armaty ustawione na saméj drodze, przy wejściu do boru, przeszywają w mgnieniu oka, próżną i prostą przestrzeń, kładąc pokotem każdą występującą rotę, nie dopuszczając naszych do skutecznego ataku!. Wodza porywa rozpacz!.. w tem, nagle odwraca się do tuż stojących ułanów i zawołał na oficerów „Panowie! kto młody, chciwy usług dla ojczyzny a chwały dla siebie! próbujcie waszéj odwagi! zabierzcie mi (pokazuje ręką) te na drodze stojące armaty!“ Wtenczas wzrok mój spotkał się ze wzrokiem Stasia Kamińskiego, (smutniéj) kochany Staś mówi do mnie „Ty wiesz, że ja z Tobą w piekielny pójdę ogień.“ Rozwijam niebawem podręczną kartę i widzę po prawéj stronie boru skrytą drożynę, patrzę, dochodzi ona do głównéj drogi, gdzie stoją moskiewskie armaty! „Bracia za mną!“ zawołałem... Oddział w jednéj chwili

ruszył równym kłusem, na pierwszym zakręcie stał batalion piechoty. Bez namysłu zawołałem „Wiara naprzód! ale cicho!“ Sformowali się nagle i idąc równym krokiem las okolili... już okrążamy tył nieprzyjaciela i jego armaty, otoczone one były oddziałem pieszéj artyleryi. Ta zoczywszy nas zmieniła raptem front i przyjmuje gęstą salwą karabinowego ognia!.. cała pierwsza nasza linija frontowa zdziesiątkowana, (pokazuje ręką) nie było rady!.. „Na bagnety!“ zawołałem, wiara dziarsko poskoczyła!.. ale cóż, kiedy jeszcze jednę dostaliśmy salwę!.. (zatrzymuje się, mówiąc smutniéj) a z téj jedna kula trafiła w pierś Stasia! (zasłonił oczy ręką) Padając z konia, zawołał „Żegnam Cię, Zdzisławie, bądź szczęśliwszy odemnie!..“

JENERAŁOWA.

I co daléj?

ZDZISŁAW.

Silnym głosem zawołałem „doktora“.

ALFRED
(ciekawie).

I cóż, czy zginął?

ZDZISŁAW.

Nie mając czasu zatrzymać się, odwróciłem

się na siodle, zapytując, „doktorze, czy żyje?“ Doktor z daleka pokazał głową, że... nie żyje... kula ugodziła serce!

MARYA.

A więc doprawdy zginął?

ZDZISŁAW.

Szczęśliwszy od innych, bo na polu chwały, (panie wszystkie płaczą).

JANUSZ.

Biedak! taki poczciwy i dziarski chłopak!

PAN PODCZASZY.

A jakże się bitwa skończyła?

ZDZISŁAW.

Potem dopędziłem naszych!... (bierze się ręką za czoło) Co za okropny widok! jeden drugiego przebijał bagnetem!.. ranni jęczeli, trupy już pole okrywały!.. ale nieprzyjaciel zaczął słabnąć, panika między nimi zapanowała, kanonierzy sami odważnie stali na swoim posterunku! Wtenczas odwróciłem się do ułanów, mówiąc, „teraz na nas czas!“ wpadliśmy jednym pędem pomiędzy armaty!.. Nie zapomnę nigdy... widziałem zdala jak ostatni wystrzał padł w gęsto ści-

śniony oddział naszéj piechoty, zrobił od razu próżną drogę, co zaświeciła od końca do końca, jak te proste drogi, co są czasem w ciemnych lasach! ale to też był ostatni wystrzał!.. armaty zostały, ale ludzi już nie było, Bóg spojrzał na nas z góry i nasza była wygrana!

JANUSZ
(biorąc za rękę Zdzisława).

Nie mówiłem, że on będzie naszym hetmanem!

MARYA.

Biedny Staś Kamiński!

ALFRED
(ciekawie).

Ale cóż daléj? jeszcze zjawienie się krzyża!

ZDZISŁAW.

Daléj!.. (zatrzymuje się zażenowany) Daléj, było to pod wieczór, staliśmy przy ognisku, ktoś mnie z tyłu woła, obracam się!.. widzę jakiegoś jenerała!.. patrzę... był to sam wódz, jenerał Chłopicki! stanąłem frontem a on mówi do mnie „młodzieńcze, zasłużyłeś od ojczyzny to, co ci przynoszę“ i sam swoją ręką przypiął mi ten krzyż, (wkazuje na niego) mówiąc daléj „byłem towarzyszem broni Twego zawcześnie zgasłego ojca, powiedz Twojéj zacnéj matce, że dzielnego syna ojczyźnie wychowała.“ (Rzuca się w objęcia matki.)

JENERAŁOWA.

Synu kochany!.. (Wszyscy rozczuleni, ocierają łzy, wtem dzwonią do kościoła.)

PANI PODCZASZYNA.

Idźmy teraz dziękować Bogu, że go żywego widzimy, a modlić się gorąco za dusze tych nieszczęśliwych, co zginęli. (Wstają i parami wychodzą; pan Podczaszy z żoną, Janusz z jenerałową, Zdzisław z Malwiną, Alfred z Maryą etc.)

MARYA
(do Alfreda).

Przyznaj Pan, że to miło mieć takiego brata!

ALFRED.

Istotnie, jest czego pozazdrościć Zdzisławowi!

JULJA.

Dobrze, że nie czekamy za rodziną prezesów, oni zawsze za późno przychodzą.

SCENA V.

(PAN PREZES, poważny i otyły — PANI PREZESOWA, przesadna — córka HORTENSYA, elegantka wymuszona — syn HIACYNTY, śmieszny, nawet głupkowaty, ma szkiełko w oku, włosy przedzielone przez sam środek głowy — Służący JAKÓB.

PREZES.

My zawsze przyjeżdżamy wszędzie za późno, już wszyscy dawno w kościele. (Siada na fotel.)

JAKÓB
(odbiera salopy).

Jaśnie państwo czekali dotychczas, ale jak zadzwoniono, trzeba było już iść. (Odchodzi.)

PREZESOWA
(do męża).

Monchèr ami, to nie jest „com i fo“ przychodzić razem godzinę naprzód z babami, które siedzą i różaniec odmawiają.

(Hiacynty wydobył zwierciadełko i grzebyszek, poprawia włosy, czesze wąsy, potem wydobywa flaszeczkę z perfumami i przesadnie siebie i chustkę pokrapia.)

HORTENSYA
(poprawia ubiór matki).

A czy mama nie zapomniała wziąść szpilek?

PREZESOWA.

O nie, mój kwiateczku, nie zapomniałam, jest wszystko, co potrzeba. (Wyciąga różne rzeczy z obydwóch kieszeni, otwiera pudełko, z którego upina kwiaty na głowie córki.)

HORTENSYA.

A puder jest?

PREZESOWA.

Mam, a nawet zwierciadełko. (Jedna drugiéj trzyma zwierciadło i po kolei pudrują się.) Moja żabciu, jak będziesz mówić z hrabią, pamiętaj, że w Zaborolu. to najwięcéj mówią po francuzku... Że się też to ten hrabia do nikogo nie bierze, widać że jeszcze nie trafił na swoją. (Ciągle upina i układa strój córki.) To tak może przyjś raptem.. On ci się zapewnie zaraz zaprezentuje, bo jest, un homme du monde!

HORTENSYA
(do siebie).

Doprawdy, że nie wiem jeszcze jak mu się ukłonię, czy tak tylko głową... czy zwyczajnie, (mówiąc naśladuje.)

PREZESOWA.

Pamiętaj kwiateczku mówić mu tak z niechcenia, chèr comte!.. Potem mów dużo o książkach, na przykład **„O misteryach paryzkich“** to takie klasyczne! a on tak długo był w Paryżu to musi znać wszystko, co tam opisują.

PREZES
(który drzemał budzi się).

A kiedyż do licha będziecie gotowe? ja się już porządnie zdrzemnąłem.

PREZESOWA.

Zaraz, zaraz, mon ange, (wyciąga z kieszeni wachlarz.)

HORTENYA
(z przesadą).

Czy mama znajduje, że panna Marya ładna? Taka blada, wymokła, milcząca, nieożywiona. (Wachluje się.)

PREZESOWA
(odwraca się do syna, który kładzie białe rękawiczki).

Czy tam ładna, czy nie ładna, to słuchaj mój Hiasiu, bierz się do niej z góry, i to z arogancyą, kobiety adorują odważnych! Mów jéj dużo **o rewiach**, wiesz, że ona bardzo je lubi!

HIACYNTY
(kładąc jeszcze rękawiczki).

Czy o tych jesiennych na Powązkach, Mamo?

HORTENSYA
(śmieje się głośno i pokazuje palcem po swojem czole).

Ha! ha! ha! on zawsze ten sam.

PREZESOWA
(odwraca się do syna).

Mon chèr ange, Ty zawsze jesteś w obłokach.

HORTENSYA
(podnosi ramionami).

Gdzie on tam w obłokach, on zawsze w klinice katarakty, albo w instytucie głuchoniemych, nigdy nic nie widzi, nie słyszy, nie rozumie, a jak się odezwie, to tylko głupstwa bełkocze!

HIACYNTY.

No, bo Mama mówiła, że kobiety lubią odważnych i panna Marya lubi rewije, chciałem jéj opowiedzieć o mojéj odwadze, kiedy za pierwszym wystrzałem armat nasze konie chciały nas unieść, a ja śmiało wyskoczyłem!...

HORTENSYA
(przerywa mu śmiejąc się).

I cóż byłbyś daléj powiedział?

HIACYNTY
(zdekoncertowany).

No, daléj... daléj...

HORTENSYA.

A widzisz, dudku... już się urwało! (robi mu rękoma, co nazywają długi nos.) Daléj byłoby, wyskoczyłem i stanąłem na nogach i to jeszcze ze strachu, przecie Mama mówi o „Revue de deux mondes“ co pani Szambelanowa nam pożycza,

o téj rewij mów pannie Maryi, gdzie pisze Lamartine, Montalembert i Beranger.

PREZES
(wstając, przeciera oczy i ziewa).

A niech też was nie znam, z takiem guzdraniem.

PREZESOWA.

Już wszystko gotowe! (drapują się w szale i wychodzą.)

SCENA VI.

KUCHARZ — Służący JAKÓB — KAWIARKA — OGROWY i MŁODY SŁUŻĄCY.

(Ruch wielki, na balkonie przed środkową arkadą stół nakrywają do śniadania, na zwyczaj święconego, boczne arkady zostają wolne do przejścia.)

MŁODY SŁUŻĄCY
(trzyma kosz z winem w lewym ręku a w prawym butelkę, którą unosi do góry).

Ktoś tam, gdzieś, kiedyś powiedział i miał słuszność (śpiewa).

Mahometa miał źle w głowie,
Bo nam wina wzbraniał pić,
My wypijem jego zdrowie
Jeszcze sto lat będziem żyć!
(*odchodzi do stołu*)

OGRODOWY
(ma bukiet i owoce w koszyku, śpiewa).

Moje kwiaty i rabaty,
Jabłuszeczka i gruszeczki,
I brzoskwinki i malinki,
Stołów strój a zaszczyt mój!
Bukiet w dłoni, kwiat przy skroni,
Sznur powoji, kibić stroi,
Mirtu wianek dla kochanek,
Niewiast strój, a zaszczyt mój!
(*odchodzi na balkon.*)

KAWIARKA
(przynosi tace z filiżankami i śpiewa).

Jak kopciuszek zapomniana,
Przy kominku już od rana,
Zważam pilnie by śmietana,
Na stół ładnie była dana,
Dana, dana, moja dana,
Na stół ładnie była dana.
(*odchodzi.*)

KUCHARZ
(niesie pasztet w ręku i śpiewa.)

Co tam wasze są zasługi,
Chociaż szereg ich jest długi,
Niech się wszystko za piec schowa!
Co innego moja głowa!
(*pokazuje palcem w czoło.*)
Moje sosy, nad niebiosy,
Chwalą pany, kasztelany,
A pasztety, galarety,
Lody, bomby i suflety!

To nielada, kto układa,
A ich słodycz tam się wkrada
(pokazuje na serce.)
Przy deserze, nieraz było,
Że się „kocham“ wymówiło!
(odchodzi na balkon, słychać dzwony w kościele.)

JAKÓB.

Wszystko państwo już idą!

SCENA VII.

PODCZASZOSTWO — PANI JENERAŁOWA — PREZESOSTWO — KANONIK — MALWINA — JANUSZ — HORTENSYA — MARYA — JULIA — ALFRED — ZDZISŁAW — HIACYNTY.
(Wracają w dawnym porządku, później Jakób.)

PAN PODCZASZY.
(całuje rękę żony).

Mościa dobrodziko i pani moja! oby nam Pan Bóg dał dożyć do przyszłego roku!

PANI PODCZASZYNA.

Jegomość nigdy nie będzie miał dosyć tego dobrego (kiwa głową i śmieje się) a przecież to już wielka karystya, żona co pięćdziesiąt lat żyje! (siadają oboje na fotel.)

JENERAŁOWA
(nadchodzi z prezesem).

Obrządek ten solenny miał być wiele liczniejszy, ale dla dzisiajszych okoliczności, ograniczyliśmy się tylko na najbliższych, a życzliwych sąsiadach. (Prezes kłania się nizko i siadają na krzesła).

KANONIK
(odprowadza prezesową i kłania się poważnie).

Asińdźka Dobrodzika masz bardzo dorodne dzieci.

PREZESOWA
(żywo).

Tak, to prawda, choć jestem ich matką, muszę to sama przyznać, do tego bardzo mi się ich edukacya udała. (wachluje się i siada na fotel.)

HORTENSYA
(wisząc od niechcenia na ręku hrabiego).

Chér comte! comme c'était émouvent, nigdy nie widziałam takiéj ceremonii, jest opis czegoś podobnego w „misteryach paryzkich.“

ALFRED
(zadziwiony).

Czy pani czytała to dzieło?

HORTENSYA
(przewracając oczy).

Ach i z jakim zajęciem!.. jakie to jest klasyczne!..

ALFRED
(zawsze zdziwiony).

Klasyczne?. znajdujesz Pani?.. ależ ja nie pamiętam nic podobnego!

HORTENSYA
(trzymając go wciąż pod rękę, przyciąga do stolika, gdzie kwiaty).

Czy pan hrabia lubisz kwiaty?

ALFRED
(uśmiechając się).

Bardzo lubię hortensye, ale nie widzę ich w tym wazonie.

HORTENSYA
(do siebie).

Jaki to delikatny komplement! quel homme du monde!

HIACYNTY
(przyprowadza Maryą, całuje ją w rękę i kłania się przesadnie).

Czy Pani lubi lekturę **„rewii dwóch światów.“**

MARYA

Pan zapewne chcesz mówić o „Revue de deux mondes,“ która wychodzi w Paryżu?

HIACYNTY
(poprawia sobie krawatkę).

Tak jest, mademoiselle la jenerale, (poczem głęboko się ukłonił.)

MARYA.

Z jakiéj okoliczności przychodzi ona Panu na myśl?

HIACYNTY.

Bo te kościelne śpiewy i ich klasyczny wiersz unosząc duszę pod niebo, przypominają ostatnie utwory Beranżera w téj rewii.

MARYA
(uśmiecha się, do siebie).

Biedny młodzieniec!

JAKÓB.

Śniadanie na stole!

(Wszyscy wstają, idą pierwotnym porządkiem, starsze osoby zasiadają poza stołem twarzami do sceny, młodsze to siedzą, to chodzą, Marya i Julja nalewają kawę i herbatę, potem biorą się pod rękę i wybiegają na środek sceny.)

MARYA
(śmieje się).

Wiesz, kochana Julciu, że oni niczego się nie domyślają!.. a to piękna będzie surpryza dla pani prezesowéj!..

JULJA.

A panna Hortensya co powie? ale moja droga Maryniu, mnie tak smutno na sercu, że się wcale nie mogę rozweselić, (ociera łzy) czy ty wiesz, że Zdzisław zaraz po śniadaniu wyjeżdża?

HIACYNTY
(przybiega z talerzem owoców).

Śmiem aż tutaj przynieść paniom owoce z tego raju! Niech mi pani poda choćby najkwaśniejsze jabłuszko, to jeszcze z jéj rąk zjem z największą rozkoszą!

MARYA
(patrzy na talerz i śmieje się).

Ale Pan nie uważałeś, że tu nie ma jabłek! (na boku) Biedak, jaki on śmieszny! (powracają na balkon.)

PREZES
(z kieliszkiem w ręku).

Zdrowie przezacnéj pary, która nam pięćdziesiąt lat przoduje w wszystkich cnotach i najświętszych przykładach! Niech żyją dzisiajsi jubilaci!

WSZYSCY.

Niech żyją jubilaci!

PAN PODCZASZY
(powstaje z kieliszkiem).

Podziękowanie zacnym i łaskawym sąsiadom, za tyloletnią życzliwość i przyjaźn!

KANONIK.

Wnoszę toast na pomyślność dwóch par narzeczonych: hrabiego Zaborolskiego i Maryi córki zacnéj pamięci jenerała Turowskiego, jako też Zdzisława, syna jego i panny Julji Załomskiéj, niech im Pan Bóg błogosławi, niech żyją długo i szczęśliwie, jak dziadek i babka!...

ALFRED
(powstaje z kieliszkiem.)

Niech mi wolno będzie wznieść zdrowie z podziękowaniem przezacnemu kapłanowi, którego błogosławieństwo przyczyni się do naszego wspólnego szczęścia!

WSZYSCY.

Ksiądz kanonik niech żyje! (poczem wszyscy wstają i wracają na swoje dawne miejsca, prócz Alfreda.)

PREZESOWA
(rozdrażniona idzie do Maryi i Julji).

Co ja słyszałam? co za miła niespodzianka, winszuję, winszuję! (na boku) Teraz już nie ma tu co robić!

HORTENSYA
(zbliża się do Julji i Maryi).

O, quelle vide, będzie w mojem sercu, jak ci panowie zabiorą nam te skarby! comme ils sont heureux! (podaje im rękę) istne, enlévement des Sabines! winszuję, winszuję!

PREZESOWA
(w złym humorze mówi do męża).

Mon chér ami, filujmy! (na boku) Po co tu już siedzieć!

JENERAŁOWA
(do Prezesowéj).

Pani Prezesowa chce już nas opuścić?

PREZESOWA
(z przesadą).

Nie chcemy przeszkadzać trzem szczśliwem parom, wolimy pożegnać łaskawych państwa! (żegna się i odchodzi.)

MALWINA.

Ja także muszę pożegnać szanowne i szczęśliwe

towarzystwo, j'ai la migraine! pewno od organów, ale Alfred zostaje à son poste! (Malwina, Janusz żegnają wszystkich i odchodzą, poczem chwila milczenia.)

ZDZISŁAW
(z rozczuleniem podaje rękę matce).

A teraz kochano Matko, wybije znowu chwila rozstania, muszę jednakowoż przed nią wypełnić wszystkich zdanych mi zleceń. (Dobywa różne listy i papiery z kieszeni.) To są proklamacye do przepisania i rozesłania, już podobno Mama wiesz gdzie?

JENERAŁOWA.

O wiem, wiem, będzie zrobione!

ZDZISŁAW
(oddaje list).

A to bardzo ważny list z rozkazami, musi być wręczony do własnych rąk!

JENERAŁOWA
(czyta adres.)

Dobrze, dobrze mój synu, zaraz sama pojadę do jenerała do Łowicza, a że muszę być jutro w Warszawie, dla założenia trzeciego lazaretu na Lesznie, sama odpowiedź przywiozę.

ZDZISŁAW
(odwraca się i żegna wszystkich po kolei).

Teraz już urlop i szczęśliwe chwile się kończą, bądźcie wszyscy dobréj myśli! Matko, siostro, Juljo, a wy kochana Babko i Dziadku i zacny kanoniku, znowu będę was prosił o błogosławieństwo.

JULJA
(trzyma chustkę u oczu).

Zdzisławie, czy już!... (Podaje mu rękę.)

ZDZISŁAW
(wesoło i z zapałem).

Już! czy nie słyszysz? (odwraca się, pokazuje ręką na drzwi, potem śpiewa:)

Rży mój gniady, nogą grzebie,
Czas! już czas! ciebie matko,
I was siostry żegnam was. (bis)
(*Znany śpiew utworu Chopina.*)

(Marya i Julja płaczą, we drzwiach ukazuje się Alfred w mundurze ułańskim.)

ZDZISŁAW
(zbliża się do rodziców).

Kanoniku, rodzice, błogosławcie mnie na ten krwawy bój!... (Alfred się zbliża i razem z Zdzisławem przyklękuje.)

WSZYSCY.

Ach! Alfred!

ALFRED.

I ja proszę o to samo błogosławieństwo, abym z dotrzymaniem obietnicy, i poświęceniem dla ojczyzny, stał się godzien nagrody! (rodzice błogosławią, kurtyna zapada.)

KONIEC AKTU II.

AKT III.

(Dwa lata po upływie pierwszym.)

SCENA I.

(Drzwi duże w środku, mniejsze po bokach, pokój sypialny Maryi, łóżko ze spuszczoną kotarą, obok klęcznik, po prawéj stronie sceny kanapa, przed nią stolik, okryty kolorową serwetą, obok kanapy mały fortepian, z przeciwnéj strony w lewo sceny kominek, na którym ogień się pali, po prawéj stronie kominka dwa fotele stoją przy sobie obrócone przodem do widzów.)

OSOBY:

MARYA sama siedzi przy kominku, późniéj JANUSZ.

MARYA
(ubrana w żałobie, trzyma książkę w ręku).

Już lat dwa mija, jak w tym pałacu płyną dni moje! jakże szczęśliwych było mało! (patrzy na zegarek) Alfred obiecał przyjść! (porusza głową)

nie przychodzi wtenczas kiedy ja do niego zaczynam się przyzwyczajać, to on taki robi się obojętny!.... dawniéj.... (przytakuje głową) dawniéj..... nie mogłam go namówić, ani do gospodarstwa, ani na polowanie, ani do Warszawy!... „Jedź ze mną, to pojadę,“ mówił „kogoż ja więcéj potrzebuje do szczęścia, jak mojéj pani, mojéj królowéj, mego anioła!“... (zamyślona) a jak czasem zkąd wracał, czułam przy przywitaniu, jak mu silnie serce w piersiach biło!... Jak kwiat, który mu nieżyczliwa ręka jeden listek po drugim wyrwała, tak z kwiatu naszego szczęścia i miłości już tylko sucha łodyga została!... już ani serca bicia, ani słówka pieszczoty nie ma! Dziś jestem tą gałązką oderwaną od swego drzewa i pędzona wirem jakiegoś dziwnego prądu!.... słabą jak ona, zdaje mi się, że tonę w jakiéjś otchłani!...

JOLANTA

(wnosi śniadanie, stawia na stole, Marya wstaje i idzie siąść na kanapę).

Pani hrabina taka zawsze sama, taka smutna i tak często teraz cierpiąca!

MARYA.

Kochana Jolanto! ty poczćiwa towarzyszko moja! ty jesteś ostatnią pamiątką dawnego szczę-

ścia i dawnéj swobody! chcesz mnie rozweselić powiedz, czyś dawno słyszała co o Kościelcu i o Mamie?

JOLANTA
(ogląda się w koło).

Właśnie był u mnie Jakób, opowiadał ze łzami w oczach, jak im jeszcze smutno bez najstarszéj dobrodziki, mówił: „pani Podczaszyna to istnie z melankolii za panią hrabiną umarła; wciąż kabały i pasjanse kładła i tak płakała, że aż wreszcie zgasła nam jak świeca na ołtarzu.“

MARYA
(ociera łzy).

Poczciwa kochana babunia! jéj serce niejedno przeczuło!...

JOLANTA.

Pani jenerałowa, to ciągle jeździ po kwestach dla naszych emigrantów, zapewnie przyjedzie także do pana hrabiego!

MARYA.

O jakże poznaję kochaną mamę, zawsze ta sama, nigdy o sobie a zawsze o drugich myśli! (ktoś do drzwi zapukał) Ach! otóż i Alfred! (Marya powstaje i idzie ku drzwiom, Jolanta odchodzi w lewo.)

SCENA II.

MARYA — JANUSZ.

JANUSZ
(wchodzi głównemi drzwiami, trzymając książki w ręku).

Otóż, nie Alfred! ale najniższy sługa, jego zastępca, któremu zlecił żonę swą bawić, bo sam musiał raptem powrócić do Warszawy. (bierze Maryą w pas i całuje w czoło.)

MARYA
(oddala jego rękę).

O Boże! jak ja tego nie lubię! nigdy nie widziałam u nas tego zwyczaju! (siada na kanapę.)

JANUSZ
(kładzie książki na stole i siada poufale na kanapie przy Maryi).

Przyniosłem ci, Maryo, najnowsze romanse, mam nadzieję, że dostanę za to śniadanie! (wpatruje się w nią) a potem... potem... co najmniéj, po.... podziękowanie! Patrz! (bierze książki do ręki) Alfonse Carr, Balzac, „Les amoures de Richelieu,“ tu poznasz świat w prawdziwem świetle!

MARYA
(przyrządza herbatę, Janusz wpatruje się w nią).

Ja nie mam czasu, na słuchanie rzeczy istotnie niepotrzebnych!

JANUSZ.

Maryo! jakie twoje włosy mają dzisiaj piękny połysk!... Możnaby myślami utonąć w tem zwierciadle!... (w téj chwili Marya podaje nachylona herbatę Januszowi, który korzysta z zbliżonéj ręki całuje niespodzianie) mam nadzieje, że ta biała rączka ratowałaby tego, któryby dla niéj w marzeniach tonął!

MARYA
(nie zważając na to co on mówi).

Czy nie wiesz, panie Januszu, na jak długo mój mąż wyjechał?

JANUSZ.

Zapomnij tego niewdzięcznika, kiedy cię tak opuszcza!

MARYA.

To nie jest dobra rada!

JANUSZ
(żywo).

Kiedy ta niedobra, dam inną!

MARYA.

Słucham! żeby tylko była dobrą!

JANUSZ.

Bardzo dobra i skuteczna! najprzód musisz się całkiem zmienić!

MARYA.

To niełatwo!

JANUSZ.

Trzeba najprzód zapomnieć wszystkie zabobony twego ukochanego Kościelca, trzeba być mniéj poważną a weselszą, a co najważniejsze, trzeba w Alfredzie wzniecić zazdrość i to szaloną zazdrość!

MARYA
(smutno).

Onby już dziś nie był zazdrosnym.

JANUSZ
(wziął Maryą za rękę patrząc na nią namiętnie).

Może dziś nim nie jest, ale będzie, jak mnie zawierzysz; widzisz, miłość to jest podobna do pragnienia po szalonym tańcu, zdaje się że tu (pokazuje ręką piersi) jest jakaś bezdenna próżnia i nieugaszony żar, co trzeba napełnić i ugasić!.. jak się raptem wypije szklankę zimnéj wody, to już pragnienie ustanie! — tak samo ze sercem, dawniéj próżne i pałające, jak napełni i uspokoi żona, to już więcéj nie ma co pragnąć!

MARYA
(zgorszona chce wstać, Janusz ją wstrzymuje).

A cóż za okropne porównania i zasady! wolę ich wcale nie słuchać!...

JANUSZ.

Kiedy mam na ten przypadek doskonałe lekarstwo!

MARYA
(zasłania sobie rękoma uszy).

Już nie chcęc słyszeć!

JANUSZ.

Słowo honoru bardzo skuteczne!

MARYA
(stoi przed stolikiem, Janusz za rękę ją wstrzymuje).

Już ostatni raz słucham!

JANUSZ.

Nic innego, jak tylko to, że trzeba się wrzucić znowu w ten dawny wir szału i tańca, aby wzniecić pragnienie tego, co ugasło!

MARYA
(zasłania sobie oczy rękoma).

O Boże! co za rozmowa, aż mi się zimno robi. (Wyciąga rękę do dzwonka i dzwoni.)

JANUSZ
(żywo).

Maryo! nie dzwoń! (Janusz widząc że zadzwoniła bierze z pudełka cygaro, które zapala.)

SCENA III.

Ci sami i SYDONIA.

SYDONIA
(mówi hardo i wesoło).

Pani hrabina dzwoniła? (spostrzega Janusza, który siadł na krześle poważnie z cygarem, nic nie mówiąc, grozi mu palcem.)

MARYA.

Kochana Sydonio! chciałam tylko wiedzieć, kiedy pan hrabia powróci?

SYDONIA.

Pan hrabia wcale dziś nie wyjeżdżał! właśnie teraz się ubiera!

JANUSZ
(zażenowany).

Widzę, że pani bratowéj za wiele robię dymu mojem cygarem, więc żegnam! (Marya spojrzała groźno na Janusza, odwróciła się bokiem, kiedy ten chciał jéj rękę podać, Janusz wychodzi razem z Sydonią, która mu jeszcze we drzwiach grozi palcem.)

SCENA IV.

MARYA sama, późniéj ALFRED.

MARYA.

O Boże! między jakimi ja ludźmi żyję! gdzie

się podział ten błękit mojéj duszy!? te złote marzenia? gdzie są te święte dusze, co mnie otaczały i we wszystkiem podpierały?... Dziś tylkoś Ty, Boże moją jedyną opieką! (klęka na klęczniku i płacze, po chwili ktoś zapukał do drzwi. Marya się zrywa).

ALFRED.

Czy można? — myślę, że mężowi zawsze można?

MARYA
(uszczęśliwiona, rzuca mu się na szyje).

Ach! Alfredzie! ty mnie tak opuszczasz, tak cię dawno nie widziałam!

ALFRED
(mówi ciągle żywo i wesoło).

Szkoda żeś z nami nie była! ubawiliśmy się do sytu! (siada przy kominku.)

MARYA.

Kiedy te wszystkie zabawy takie są męczące!

ALFRED
(lekko).

La grande affaire! godzina jazdy a dwadzieścia wesołości! (bierze żonę w pas) Teraz, żonciu kochana, powiem ci, że porządnie się zgrałem!

MARYA.

Znowu? i tak wesoło o tem mówisz! a przecie Alfredzie, obiecałeś mi...

ALFRED
(przerywa).

Cóż chcesz! namiętności silniejsze od ludzi! ale słuchaj daléj! byliśmy na śniadaniu u Edzia; ty nie wiesz co to jest kawalerskie śniadanie? to jest rój pszczół, które zbierają i kradną wszystkim i wszędzie dowcipy i inteligencyą! w salonach buduarach, nawet za kulisami, aby wszystko potem wylać w szumie szampana! i właśnie jakeśmy byli, en train, wchodzi Adelina!

MARYA
(zadziwiona).

Jaka Adelina i po co?

ALFRED
(bierze się raptem ręką za usta i mówi na boku).

A do licha! to się popisałem! jak się tu wykręcić?! (po krótkim namyśle) Ach! ty wiesz.... musiałaś o niéj słyszeć... ta stara, nieznośna piszczka! co zawsze po kwestach chodzi!

MARYA.

A czy przynajmniéj co dostała?

ALFRED.

Dostała, dostała i grubo! wszyscy sypali złotem! to jest bardzo hojne towarzystwo, kiedy chodzi o takie cele! (uśmiecha się na boku.)

MARYA.

Chwała Bogu! ale kochany Alfredzie, tyś teraz taki odurzony światem, w domu tak smutno bez ciebie! (bierze chustkę do ócz i płacze.)

ALFRED
(bierze ją w pas).

Ale moja Maryniu, bądź raisonable! bądź tak wesołą jak ja! ja ci właśnie dla tego wszystkich zprosiłem na dzisiaj!

MARYA
(przerażona).

Na dzisiaj?! kiedy ja jestem w grubéj żałobie?!

ALFRED
(wstaje).

La grande affaire! zdejmiesz na jeden dzień żałobę!

MARYA
(kładąc nieśmiało mu rękę na ramię patrząc czule na niego).

Alfredzie! aleś ty nie zaprosił księcia?

ALFRED
(żywo).

Właśnie żem go zaprosił!

MARYA.

O Boże! ja tak cię o to zawsze proszę, żebyś go nigdy nie zapraszał! już zimą w Warszawie, mówiłam ci, że on... że on... (do siebie) O Boże! jakto powiedzieć?... (głośno) że on... jak mówiono wtenczas miał być mną zajęty!

ALFRED.

Ha! ha! ha! la grande affaire! przecie nie ma kobiety na świecie w któréj by się ktoś, jakiś nie kochał, lepiéj że on, jak kto inny! na takie rzeczy, to najlepiéj patrzeć przez szpary! (kiwnął ręką, pocałował w czoło i odszedł.)

MARYA
(sama i smutna).

Alfred zawsze ze mnie się śmieje, zawsze niekontent z zasad w których byłam wychowaną, trzeba będzie choć na pozór, zmienić się trochę i starać mężowi przypodobać! Idźmy się biało ubrać! (odchodzi).

SCENA V.

(Kurtyna zapada na chwilę dla zmiany dekoracyi, pokój ten sam, na pierwszym planie; z tyłu wyniesione łóżko, klęcznik

i stół przed kanapą; tylna ściana posunięta, salon głębszy; przy podniesieniu kurtyny wchodzą głównemi drzwiami Natalja i Malwina, obydwie w podróżnych ubiorach.)

MALWINA
(mówi głośno i wesoło).

Przyznać musimy, że nam się wszystko doskonale udało!

NATALJA
(śmieję się ciągle).

Czy nas kto nie wyda z tego, żeśmy były na wczorajszéj reprezentacyi? była znakomitą! Prawda, prawda, że trochę „décolté!“ boję się Alfreda!

MALWINA.

Alfredowi powiemy, że jak nas wyda, to my go także wydamy....

NATALJA
(przerywa).

Z bukietu, który miał w środku sto dukatów w złocie!

MALWINA.

Prawdziwe nieszczęście, że poznał na śniadaniu u Edzia tę szatańską Adelinę! żeby to przynajmniéj mogło pozostać tajemnicą!

NATALJA.

Wiesz Malwino, że à propos tajemnicy, w którem sercu musi być prawdziwa tajemnica, to w sercu księcia Gustawa! bywa wszędzie, robi wszystko co drudzy, ale wszystko jakby we śnie magnetycznym!

MALWINA.

Kto wie, która ga tam uśpiła?! ta zapewnie tylko potrafi go rozbudzić! Ale teraz idźmy zmienić nasze podróżne ubrania! (wychodzą w prawo.)

SCENA VI.

KSIĄŻĘ — MARYA, późniéj SYDONIA.

KSIĄŻĘ
(wchodzi głównemi drzwiami, siada na fotel przy kominku zamyślony, po chwili mówi).

Wolałem tu zostać.... mam nadzieję, że ją prędzéj samą zobaczę!... czuję to w mojem sercu, i mam przekonanie, że ona nie jest szczęśliwą!... Od chwili gdzie ją widziałem na balu, tańczącą ze łzami w oczach, od téj chwili stoi w mojéj wyobraźni, jak posąg, co nic zatrzeć nie może!... Alfred jéj nie rozumie, u niego to był tylko szał!... jego całe życie jest tylko jednym szałem!...

MARYA

(okazuje się w bocznych drzwiach za fotelem księcia, idzie nie widząc go w prost na środek sceny, gdzie nakłada rękawiczki, ubrana w bieli, fiołki na głowie i u stanika, czarna aksamitna szarfa związana na sukni).

Otóż jestem w bieli, usłuchałam Alfreda, wszystko robię, żeby mu się przypodobać a przez to jego i siebie ratować!

KSIĄŻĘ

(wstaje).

Nie chcąc być niedyskretnym....

MARYA

(przerażona).

Ach! zkądże się książę tu wziął?

KSIĄŻĘ

(stojąc nieśmiało).

Czekałem za panią!... coś mi mówiło, że niebawem będziesz tu przechodzić... chciałem sam na sam choć kilka słów pomówić! (bierze się ręką za czoło, zarzucając włosy) Ale! ale, jak mi to trudno przełamać te twarde lody, które pani niczem nie pozwala skruszyć! zakazałaś bywać! nie pozwalasz pisać! nie wolno mi nawet wyznać, że serce tak gwałtownie przy tobie bije! a tak obumiera bez ciebie.

MARYA
(siada przy kominku).

Rozumiem, że kobieta wolna może na to wszystko pozwolić, ale ja mam męża!

KSIĄŻĘ
(siada przy Maryi).

Nie chcę mówić o tem obszerniéj, ale powiem, że od roku żyję karmiony goryczą i nieszczęściem, ale pozwól!... pozwól, niech ci powiem pani!... ja wiem!... że i ty jesteś nieszczęśliwą!

MARYA
(przerażona mówi na boku).

O Boże! kto mu to powiedział? (do księcia) niech książę nic więcéj nie mówi! wolę nic nie słyszeć i nic nie wiedzieć!.. Alfred powróci z tego obłędu i będzie późniéj szczęśliwym w zaciszu domowem!

KSIĄŻĘ
(żywo).

A jak nie powróci?

MARYA
(obrażona).

Jak książę może to przypuszczać?

KSIĄŻĘ
(z rodzajem natchnienia).

Jest jedna siła, która robi zwyczajnego człowieka prorokiem! ta siła jest, pierwsza, czysta, święta miłość!... ta siła oświeca przyszłość téj, którą się kocha! dziś... dziś nic od ciebie, pani, nie żądam, niczego nie pragnę!... o jedno zaklinam i błagam, jak będziesz potrzebować pomocy, o ty słaby i nieszczęśliwy aniele, przyjmij ją tylko od tego, co swoje życie gotów dla ciebie poświęcić! (wziął Maryą za rękę i trzyma w swojem ręku, patrząc na nią czule.)

MARYA.

Widząc księcia tak szlachetne uczucia, przyrzekam! (książę całuje jéj rękę z zapałem.)

KSIĄŻĘ
(wstaje).

Odchodzę szczęśliwy, więcéj nie pragnąłem? (na boku) Teraz mam pewność, że wyrwałem ją z niecnéj opieki Janusza! (odchodzi.)

SCENA VI.

MARYA — SYDONIA.

SYDONIA
(wchodzi z lewéj trzymając bukiet w ręku).

Je vous pris madame la comtesse! nie mogę

znaleść pana hrabiego, kazał mi wysłać te kwiaty do pani Adeliny Lerois w Warszawie, ale nie wiem jéj adresu?

MARYA
(zadziwiona).

Pani Adelina Lerois? ja nie znam téj pani! z pewnością pani Malwina będzie wiedziała!

SYDONIA
(na boku).

Co ja zrobiłam! to pewnie był sekret? (głośno) A prawda, prawda! pójdę zapytać się pani Malwiny! (odchodzi.)

MARYA
(otrząsa się).

Nie wiem dla czego, ale mnie jakiś straszny dreszcz przeczucia przechodzi? (bierze się za serce, oddychając głęboko) i tu, tak znowu boli!

SCENA IX.

NATALJA — MALWINA — MARYA — późniéj KSIĄŻĘ — LEON — ALFRED — JANUSZ.

(Wszyscy się witają z Maryą; — wszyscy w ubiorach strojnych; — na pierwszym planie rozmawiają, — z tyłu wnieśli lokaje stół ze śniadaniem.)

MALWINA
(spostrzegłszy Maryą).

Ach! jaka Marya dziś piękna! ale jakaś zafrasowana? (bierze ją za rękę.)

MARYA
(pomięszano i nieśmiało.)

Droga Malwino, powiedz mi szczerze, komu Alfred posełał kwiaty do Warszawy?

MALWINA
(żywo podnosząc ramionami).

Jakie kwiaty? to znowu jakiś klabodaż!

MARYA
(porusza głową).

Nie klabodaż! rzeczywiście posłane dla pani Adeliny Lerois!

MALWINA
(spojrzała na Natalję).

Co za nieszczęście?

NATALJA.

Jak się tu wykręcać?

MALWINA
(po chwili namysłu).

Ach prawda! prawda, to dziś naszéj dawnéj

guwernantki imieniny! poczciwy Alfred o niéj nie zapomniał!

MARYA
(zamyślona).

To pewnie ta zacna osoba, która kwestowała u pana Edwarda, bo jéj właśnie było imię Adelina!

MALWINA.

A tak, tak właśnie ta sama! ale kochana Maryniu, czego się tak niepokoisz! ja się nigdy nie pytam, co i gdzie Janusz posełał!

MARYA
(do siebie).

To wszystko podejrzane, mnie tylko książę powie prawdę! (zamyślona.)

JANUSZ
(wesoło).

Przybywa paniom kontyngens wesoły do naszego obozu, otóż książę, Leon i Alfred! (wskazuje na tych panów, co wchodzą, witając się z wszystkiemi.)

ALFRED
(spostrzegł żonę).

Ach! jaka moja żona dziś piękna! żeby to tak zawsze było!.. toby... toby...

JANUSZ
(przerywa).

My znajdujemy, że zawsze jest taką, jak teraz, (całuje Maryą w rękę) ale dokończ Alfredzie twoje „toby — toby?“

ALFRED.

Chciałem powiedzieć, en mari galant, tobyśmy wszyscy nie ustali szaleć!

LEON
(odwraca się do Maryi, wskazując na Alfreda).

Żeby nie ten Otello, wszyscy bylibyśmy u nóg téj Dezdemony!..

MARYA
(obojętnie).

Pan Leon zawsze wesoły i dowcipny, ale tą razą dowcip nie jest zupełnie trafny! (Leon idzie do klawikordu, zaczyna grać wesołą przegrywkę, późniéj śpiewa różne śpiewy, stósowne do okoliczności, książę zbliżył się do Maryi, mówiąc:)

KSIĄŻĘ.

Pani taka smutna! czy co nowego zaszło?

MARYA
(półgłosem).

Już będę potrzebować księcia opieki.

KSIĄŻĘ.

Co za szczęście!

ALFRED
(idzie do śpiewającego Leona i uderza go w ramię).

No, ty birbancie! hulako! don Jouanie! teraz już śniadanie! (Lokaje stawiają na stole bulion we filiżankach, Alfred prowadzi Natalją, Leon Malwinę, książę Maryą, Janusz idzie sam, Alfred mówi do Natalii) Kiedy my tu wszyscy w sekrecie, więc mogę się zapytać szanownéj sąsiadki, jak się wczorajsza reprezentacya podobała?

NATALJA
(z przesadą).

Je rougis! ale przyznać muszę, że bardzo! (wszyscy piją i jedzą).

JANUSZ
(do Alfreda).

Twój teraźniejszy kucharz prawdziwy artysta! znakomicie podał tę pulardę!

LEON
(bierze kieliszek w rękę, służący nalewa).

Ja sprobuję piwnicy i zaczynam zdrowię łaskawych i obecnych dam! (panie dziękują uśmiechem).

JANUSZ
(biorąc kieliszek w rękę).

Ja wnoszę „nieobecnych!“ i zaczynam od

dzisiajszéj prymadonny! (Alfred i Leon piją, książę nie pije i porusza się z widocznem oburzeniem). Patrzcie! patrzcie! ten Katon nie pije!

KSIĄŻĘ.

Nie piję, bo mi się wcale nie podoba! (Służba zmienia ciągle talerze).

LEON
(z oburzeniem).

A! to już jesteś prawdziwym głazem! taka jest urocza, że jak śpiewa, to ja nie śmiem nawet na nią patrzeć! nie ma drugiéj nad Adelinę!

MARYA
(mówi do siebie).

A to dziwne, znowu jakaś Adelina?! cóż to znaczy? dzisiaj wszystkiem kobietom imię „Adelina?“

KSIĄŻĘ
(półgłosem do Maryi).

Jakże panią szczerze żałuję! jesteś panią tego domu, a nie możesz....

ALFRED
(przerywa wstając).

Komu w drogę, temu czas! obiecaliśmy być na koncercie, kto ze mną jedzie? (wszyscy powstają).

LEON.

Ja!

MALWINA.

My także z Natalją! (odwraca się do księcia). A książę?

KSIĄŻĘ.

Ja jestem na wózku Janusza!

JANUSZ.

A ja muszę się jeszcze przebrać! (Natalja i Malwina żegnają się z Maryą).

NATALJA.

Żegnam cię, kochana Maryo i żałuję, że nie jedziesz nami.

ALFRED
(zbliża się do Maryi).

Czy ty cierpiąca, Maryo? ochraniaj się duszko! (całuje ją w czoło) Au revoir (żegna zdala ręką, wszyscy panowie odprowadzają damy do powozu).

SCENA X.

MARYA sama — potem KSIĄŻĘ.

MARYA
.(słychać turkot powozu).

O Boże! już Alfreda nie ma! co to wszystko

znaczy? (Rzuca się na fotel w téj chwili książę pokazuje się we drzwiach zbliżając się ku Maryi).

MARYA
(spostrzegła księcia, mówi składając ręce).

Zaklinam księcia! powiedz mi prawdę? czy ten bukiet był dla téj aktorki?... (książe stoi pomięszany i milczy) Książę milczysz! (książę z spuszczonemi oczami, uporczywie milczy). Ach!... przebóg!... to ona!... (Marya chwyta się za serce wydaje przeraźliwy krzyk). Ach!... (poczem przechyla głowę na fotel, na pół zemdlona, książę przerażony bierze ją za rękę).

KSIĄŻĘ.

Pani! Maryo! co zrobić, żeby cię widzieć szczęśliwą? (książę kleka, przerażony odgarnia włosy Maryi z czoła) O Boże! ona nie słyszy!.. jaka zimna!.. (powstaje i obraca się za dzwonkiem) Trzebaby zadzwonić! (w téj chwili Marya westchnęła głęboko i bierze się za serce, mówiąc cicho).

MARYA.

Jolanta!... Jolanta!... (otwiera oczy, spostrzega księcia.) Ach! to książę!... (mówi wolnym głosem) To nic!... to już mija!... ale dziś rano myślałam, że umrę!... (przechodzi ręką po czole).

KSIĄŻĘ.

Niech pani tego nie mówi! przecie on jeszcze powróci!...

MARYA
(smutno porusza głową).

On już mnie nie kocha!... pewno już nie powróci!...

KSIĄŻĘ.

Jak nie powróci. . (wskazuje na serce) znam jedno serce, co razem z twojem, pani będzie bolało i biło!

MARYA
(podaje księciu rękę).

Daj mi książę słowo, że jakakolwiek prawda będzie, to mi jéj nie ukryjesz.

KSIĄŻĘ.

Daję ci, pani, słowo!... ale na zadatek tego słowa, błagam o jedną łaskę!

MARYA.

O jaką?

KSIĄŻĘ.

O tę wiązkę kwiatów, co leżała na tem zbolałem sercu!

MARYA
(spogląda na fiołki, co miała przy staniku, odpięła i patrząc na nie mówi).

Te fiołki istotnie są mojem godłem, brak im tylko cierni! (podaje księciu który klęka i podane kwiaty namiętnie całuje, w téj chwili służący wchodzi).

SCENA XI.

MARYA — JENERAŁOWA — SŁUŻĄCY.

SŁUŻĄCY.

Pani Jenerałowa przyjechała i tu właśnie idzie! (odchodzi).

MARYA
(z zadziwieniem).

O Boże! moja matka w takiéj chwili! Pan Bóg ją tu zesłał! (do księcia) Niech książę na chwilę idzie do pokoju Alfreda, moja matka musi mieć jakiś ważny interes! (książę odchodzi bocznemi drzwiami) Ja tak zawsze Alfreda usilnie proszę, żeby go nigdy nie zapraszał!... a on zawsze ze mnie się śmieje!...

JENERAŁOWA
(wchodzi głównemi drzwiami, Marya idzie ku matce, rzuca się w jej objęcia).

Kochane dziecko moje!

MARYA.

Matko!

JENERAŁOWA
(całuje ją).

Maryo, co tobie jest? taka jesteś blada, zimna cała drząca? Moje ty szczęście i nieszczęście zarazem, mało cię teraz widzę, bo idziemy dwoma przeciwnymi prądami! (na boku) Ona nie wie, że ja wszystko wiem, a może jeszcze lepiéj od niéj! (do Maryi) Ja tu, drogie dziecko moje, przyjechałam po kweście, powiesz to twoim panom, jak powrócą!

MARYA
(smutno).

Nie ma ich! wyjechali!... o matko! jak to trudno kobiecie być szczęśliwą na téj ziemi!

JENERAŁOWA
(bierze Maryą za rękę).

Córko moja! dziecko moje szczęście leży w sumieniu!... słuchaj co ci powiem... tyś była u nas tym brylantem, którego promienie cały dom oświecały!... jak ten klejnot wyszedł z rodziny wszystko zgasło! zostały w naszem ognisku domowem tylko zimne zgliszcza! (bierze ją w pas całuje w czoło) ale pamiętaj córko! że ten klejnot musi dzisiaj, tutaj świecić miłością matki i żony, (z zapałem) musi być jasny, czysty, bez żadnéj

skazy!... O! dziecko! ty nie wiesz, co to jest najmniejsza plama na sumieniu kobiety!.. ona, jak w załomach brylantu, choć mała, to tysiąckrotnie się powiększa i powtarza!.. o! wierzaj mi córko! że już nic i nigdy jéj nie zmaże!.. (donośniejszym głosem, poruszając głową dla negacyi) nie!.. nigdy!.. nic nie zmaże!.. ty ją sama widzieć będziesz w dzień i w nocy (mówi srogo) przy kołysce dziecka!.. i przy stopniach ołtarza!.. (Marya przerażona zakrywa oczy, jenerałowa mówi wolniéj i ciszéj) a po latach wielu, jak przez pokuty i modlitwę, zmiękczysz Pana nad Pany, to może On ci daruje i zapomni!.. (bierze Maryą silnie za rękę i mówi z energią) ale ludzie i syn nigdy nie darują!... nigdy nie zapomną!..

MARYA
(rzuca się płacząc w objęcia matki).

Matko! ja chcę z tobą jechać!... ja tu nie zostanę!

JENERAŁOWA
(porusza wolno głową).

Nie! córko! zostać tu musisz! tu twój dom, tu twoje dziecko! nie ma męża, któryby nie powrócił do cnotliwéj żony!..

MARYA
(rzuca się znowu w objęcia matki).

Matko! zabierz mnie ze sobą!

JENERAŁOWA.

Nie zabiorę! i Bogu oddaję! niech On cię natchnie tém, co męża uszczęśliwić może! (całuje ją w czoło i odchodzi, Marya znużona pada na fotel).

SCENA XII.

MARYA — KSIĄŻĘ.
(Książę ukazuje się w bocznych drzwiach, zbliżając się wolno do zamyślonéj Maryi).

KSIĄŻĘ.

Pani mnie słowem zobowiązała do prawdy! (pokazuje otwarty list, który trzyma w ręku) Otóż jest prawda!.. leżał otwarty na biurku Alfreda!

MARYA
(odbiera list od księcia, rzuciwszy okiem na podpis, rzuca go na ziemię, przerażona).

Ach! Adelina!... nie ma już wątpienia!... (zasłania sobie oczy rękoma, zrywając się z fotelu).

KSIĄŻĘ
(patrzy na Maryę i mówi z politowaniem).

Co mi pani teraz każe daléj uczynić?

MARYA
(zbiera myśli i mówi z energią).

Wyjechać!

KSIĄŻĘ
(bierze jéj rękę i trzyma w swoich).

Maryo!

MARYA
(z głębokiem westchnieniem).

Wyjeżdżaj książę! i to zaraz!

KSIĄŻĘ
(patrzy czule na Maryą).

Maryo! miéj litość nade mną!

(Kurtyna zapada).

KONIEC AKTU III-go.

AKT VI.

SCENA I.

(Salon ten sam, co był w poprzednim akcie, Marya w rannym ubiorze siedzi przy kominku, na którym dzwonek leży).

OSOBY:

MARYA — JOLANTA — SYDONIA.

MARYA
(po chwili namysłu dzwoni).

Nie wiem, czy Alfred w nocy powrócił? serce kobiety, to jest jak dziecko co zaczyna chodzić, probuje sił własnych, ale ogląda się, bo potrzebuje kogoś silniejszego od siebie, żeby bronił od upadku!

JOLANTA
(wchodzi w prawo, ze smutnym wyrazem na twarzy).

Pani hrabina dzwoniła?

MARYA.

Tak, kochana Jolanto! chciałam wiedzieć czy pan hrabia powrócił?

JOLANTA.

Gdzie tam powrócił! z przeproszeniem pani hrabiny, panu hrabiemu to się w głowie popsuło! ten pałac, to istna wieża babel! pan hrabia pisał do pani Sydonii, że dziś przyjedzie jakaś śpiewaczka włoska!

MARYA
(przerażona).

Jolanto, co ty mówisz? czy to być może?

JOLANTA.

Oto francuzka idzie, to pani hrabinie sama powie!

SYDONIA
(wchodzi wesoło z listem w ręku).

Dobrą wiadomość przynoszę pani hrabinie! będziemy mieli gości! polowanie z damami! śniadanie w boru!

MARYA
(do siebie).

O Boże! do czego to przyszło! (odwraca się do Sydonii) Mam nadzieję, że pani Sydonia z mężem

wszystko gustownie przygotują! niech i Jolanta dopomoże do wszystkich przygotowań!

SYDONIA
(wesoło bierze w pas Jolantę i zabiera ze sobą śmiejąc się).

Idźmy, idźmy czemprędzéj wszystko przygotować! (wychodzą w głównych drzwiach ukazuje się Janusz).

SCENA II.

MARYA — JANUSZ, (który trafiając we drzwiach Sydonią, kłania jéj się przesadnie, Marya wstaje).

JANUSZ
(zbliża się do Maryi, bierza ją w pas i całuje w rękę).

Jakże zdrowie? jakże serduszko?

MARYA
(sucho).

Dziękuję, dobrze!

JANUSZ
(do siebie).

Dziwna rzecz, że się o nic nie pyta? (do Maryi) Wiesz, już zapewnie, Maryo, że będziemy mieli dzisiaj gości, których nam zazdrości cała Warszawa. Będziesz słyszała znakomitą śpiewaczkę, panią Lerois, wszystkie zaprosiny odmówiła, tylko nasze przyjęła.

MARYA.

Dawno nie słyszałam pięknego śpiewu, mocno się cieszę na tę przyjemność!

JANUSZ
(patrzy bystro na Maryą).

Maryo! ty mi się zdajesz tak nienaturalnie spokojną?! czy to udawanie przedemną, czy nadludzka rezygnacya, powiedz, co to jest?

MARYA
(spokojnie).

To jest, że myślę, iż między rodzinami jak w przyrodzie są chwile burzy, które jak przeminą, to jeszcze piękniejsza pogoda zajaśnieje!...

JANUSZ
(z głębokiem wejrzeniem patrzy na Maryą).

A jak te burze nie przeminą i owszem porwą w dalekie strony... nie chcę powiedzieć kogo... (bierze Maryą za rękę i mówi namiętnie) wtenczas Maryo, ja!... ja jestem panem w Zaborolu! — ja twoim opiekunem!

MARYA
(wyrywa mu rękę, idąc kilka kroków dalėj mówi do siebie).

Od pierwszėj chwili nienawidziłam tego podłego człowieka! (do Janusza) Nie potrzebuję takiego opiekuna, już mam innego!...

JANUSZ
(idzie za Maryą, bierze ją silnie za rękę).

Tu nikt inny nie ma prawa do ciebie, tylko mąż i ja!...

MARYA
(wyrywa mu rękę i z gestem dumy mówi).

Idź precz odemnie!... nienawidzę ciebie!... do głębi duszy pogardzam!.. brzydzę się tobą!..
(wstrząsa się).

JANUSZ
(w największem rozdrażnieniu).

Aha! a tamtego nie odpychasz?!... tamtym nie pogardzasz?!... powiedz mu... powiedz odemnie... (pokazuje gestem) że chyba przez moją szpadę przejdzie twoje progi!

MARYA
(spokojnie).

Nie wiem o kim pan mówisz? ja mówiłam o moim bracie!

JANUSZ
(rozśmiał się głośno).

Ha! ha! ha! doprawdy? o bracie!.. piękny mi brat!... dobrze wiem kto jest ten brat!... miałaś być aniołem (trzęsie się ze złości) a jesteś... jesteś szatanem!... a ja ci mówię, że to wszystko kłamstwo!... znam dawno tego podstępnego i po-

dłego opiekuna... ja mu to sam powiem... powiem Alfredowi!... powiem matce!... napiszę do prawdziwego brata!...

MARYA
(spokojnie i seryo).

Nie potrzebuje pan pisać, mój brat wrócił wczoraj z emigracyi! nie wiem, czy będę potrzebować innego opiekuna, jak męża? ale w żadnym przypadku nie wybiorę tego, który obraża miłość własną i honor kobiety!...

JANUSZ
(bierze silnie i raptem Maryą za rękę).

Popamiętasz Maryo te słowa! i pożałujesz téj chwili! (odchodzi).

MARYA
(rzuca się na fotel i bierze za czoło).

Ten człowiek mnie zabija! to jest zły duch tego domu! bezczelny! podły! bez serca! bez duszy! boję się jego zemsty! (pochyla głowę, którą podtrzymuje ręką, chwila milczenia, po któréj ukazuje się Julja i zbliża do Maryi).

SCENA III.

MARYA — JULJA.

JULJA
(zbliża się do Maryi).

Maryo!

MARYA
(odsłaniając oczy, spostrzega Julję).

Ach! Julja! co za szczęście! (rzuca jéj się w objęcie).

JULJA.

Maryo, jakaś ty zmieniona!

MARYA
(czule).

Bo tęskniłam za wami, teraz już tęsknić nie będę, wiedziałam żeście przyjechali, myślą i sercem byłam między wami!

JULJA
(całuje Maryą).

Moja Maryo! ty musisz być chorą? tak mi pomizerniałaś, tak posmutniała w tym wielkim pałacu! (ogląda się).

MARYA
(smutno).

Istotnie jestem mocno cierpiąca, ale opowiedz mi wasz powrót, a rozerwiesz smutne moje myśli!

JULJA.

Moja droga, trudno sobie wystawić rozpromienie i radość wszystkich! dziadunio i kanonik o dziesięć lat odmłodnieli, kochana ciocia, patrząc na swego jedynaka, promienieje jak słońce w dniu

pogodnym; starzy ludzie i wieś cała, witali jak swoje własne dzieci, ale cóż z tego, kiedy brakowało kochanéj babuni i ciebie Maryo! (podaje jéj rękę).

MARYA
(smutno).

Ja już nie należę ani do waszych smutków, ani do waszych radości! (ociera łzy chustką) Jakaś ty szczęśliwa, kochana Juljo! moje szczęście trwało niemal tyle co błyskawica na niebie, błyskawica zgasła i ciemność bez światełka nadziei została! (Julja rzuca się w objęcia Maryi).

JULJA.

Maryo! co ty mówisz?

MARYA
(wskazuje ręką drzwi boczne).

Tam tylko szczęście moje! tam, przy téj kołysce, która choć mnie nierozumie, to czerpię z niéj odwagę i siłę do dalszego życia! Idźmy tam a otworze ci całe zbolałe serce moje! (odchodzą).

SCENA IV.

(Po chwili słychać myśliwską trąbkę, gwar na dworze, wpada całe towarzystwo, panie w amazonkach różnego rodzaju, panowie w strzeleckich ubiorach, książę tylko ubrany w poważnem i zwyczajnem ubraniu).

MALWINA — NATALJA — ADELINA — ALFRED — LEON — KSIĄŻĘ — JANUSZ.

ADELINA
(którą Alfred wprowadza, w ubiorze eleganckim amazonki, w kapeluszu z piórem).

Quelle charmante partie! jak jestem wdzięczną hrabiemu, że mnie zaprosił!

ALFRED
(kłania się nizko).

Ja tylko mogę być wdzięcznym, za łaskę przyjechania do najniższego jéj sługi, który składa wszystko co ma w swoim domu, pod nóżki bożyszcza warszawskiego!

LEON
(śmiejąc się mówi do Natalji).

Ten warjat zapomniał, że ma żonę i dziecko!

NATALJA.

Ręczę panu, że dziś dałby i jedno i drugie!

LEON
(rozśmiał się na głos).

A toby jéj dopiero piękny zrobił ambaras!
(część towarzystwa siada i cygara zapalają, rozmawiając do siebie).

ADELINA
(do Alfreda).

A gdzie pan hrabia chowa swoją chatelenę i swoją królowę?

ALFRED.

Zapomniałem, zapomniałem! biegnę jéj oznajmić jaka ją czeka siupryza! (wychodzi).

JANUSZ.

Zapomniał dodać: „miła“ siupryza! zresztą już dawno nie siupryza!

KSIĄŻĘ
(do siebie).

O biedna ofiaro! nich ci Bóg dodaje sił i odwagi! (Alfred przyprowadza żonę pod rękę, która widocznie osłabiona, mówi do niego pół głosem).

MARYA.

Alfredzie, co ty odemnie wymagasz?

ALFRED
(do Adeliny).

Prezentuję pani moją szanowną i kochaną żonę, jak pani widzisz, un souffle de femme! a tobie Maryo, prezentuję, la cocluche et l'Idole de Varsovie!

MARYA
(z godnością).

Tyle o pani słyszałam od tych kilku dni, że zdaje mi się, iż ją już dawno znam!

ADELINA.

Wszyscy tak na mnie łaskawi, na panią hrabinę mogłabym tylko się uskarzać bo nigdy jeszcze nie zoczyłam na moich koncertach!

MARYA.

Ja jestem mocno cierpiąca i muszę bardzo się ochraniać.

ADELINA.

Pan hrabia miał słuszność mówiąc, qu'il a un souffle de femme, mais il y a des souffles qui renversent des chênes!

JANUSZ
(odwraca się do księcia).

Słyszysz Gustawie? ta aluzya to niby do ciebie wprost wymierzona! (książę spojrzał seryo i z pogardą na Janusza).

KSIĄŻĘ
(ostro).

Nie lubię takich zaczepek!

ALFRED
(zbliża się do Maryi).

Proś ją usilnie, żeby śpiewała!

MARYA
(spojrzała na księcia).

O Boże! (obraca się do Adeliny) Może mi pani raczy wynagrodzić moją nieobecność na koncertach? dla pani zaśpiewać jest taką małą rzeczą a tak wielką przyjemnością dla tych co słuchają!

ADELINA.

Nie wiem doprawdy jak to pójdzie po tak szalonéj konnéj przejażdzce?

LEON
(składając ręce).

Wszyscy klękamy i błagamy!.. ja będę akompaniował!

ADELINA.

Kiedy wszyscy każą! (zbliża się z Leonem i Alfredem do klawikordu, Natalja i Malwina siadaja na kanapie, Marya na fotelu, za którym stoi książę, przy klawikordzie Alfred, Leon i Adelina przerzucają nuty).

MARYA
(do księcia).

O Boże! niech mi książę dodaje odwagi!

KSIĄŻĘ.

Czyste sumienia mają zawsze odwagę!

LEON
(trzymając nuty).

Otóż arya „Rosiny!“ a tu z „Favority!“
(Adelina ogląda.)

NATALJA
(do Malwiny).

Patrz jak księcia wzrok tonie w eterycznéj i chwiejącéj postaci twojéj bratowéj!

MALWINA.

Dawno to przeczuwałam, il est fou d'elle!

ADELINA.

Sprobuję „Favoritę“ (kładzie nuty na pulpit, Leon siada i akompaniuje, poczem śpiewa, wszyscy uważają z natężoną uwagą, po pierwszéj części Alfred daje wielkie brawo).

ALFRED.

Brawo! brawo! co za arja! co za śpiew! ale ja wolę jeszcze drugą część! (przysuwa się do Maryi, mówiąc półgłosem ale ostro) Maryo ty nie uważasz! udajesz słabą, świętą i opuszoną a ja wiem, że mnie wcale nie potrzebujesz i masz innego opiekuna!

MARYA
(spojrzała błagająco na męża).

Alfredzie! na Boga, co to znaczy? (Alfred opuszcza Maryą i wraca do Adeliny).

ALFRED.

Błagamy o drugą część!

MARYA
(odwraca się do księcia).

Słyszał książę? to już sprawka Janusza!
(Adelina zaczęła znowu świewać, śpiewa półgłosem, Janusz zbliża się do Maryi i także mówi półgłosem).

JANUSZ.

Wszyscy admirują, prócz téj nieczułéj pary!

KSIĄŻĘ
(wziął silnie Janusza za rękę i przyciągnął ku lewéj stronie sceny, mówiąc półgłosem).

Trzeba być podłym człowiekiem, żeby być fałszywym denunciantem!

JANUSZ
(udając zadziwionego).

Czy to dla mnie ten niespodziany komplement? cóż to znaczy?

KSIĄŻĘ
(seryo).

Znaczy, że jutro rano czekać będę pana w lasku na Bielanach!... jeden z nas zginąć musi!

JANUSZ
(żartobliwie).

W każdym razie wolę, że książę, niż ja!

KSIĄŻĘ
(patrząc groźno na Janusza).

Gdybym miał puginał, przebiłbym cię, nędzniku! (W téj chwili kończy się śpiew i dają rzęsiste brawo, Adelina wstaje, idzie wprost do Maryi.)

ADELINA.

Chère comtesse! zapewnie rozstroiłam te słabe nerwy?

MARYA.

Pani żartujesz, to dla mnie parafianki zastąpiło koncert, serdecznie jéj dziękuję! (podaje jéj rękę, w téj chwili słychać trąbkę myśliwską, wszyscy raptem wstają).

ALFRED
(przychodzi do żony i kłania się przesadnie).

Żegnam cię! obowiązek woła! polowanie czeka!

ADELINA
(podaje jeszcze rękę Maryi).

Mam nadzieję widzieć panię hrabinę w Warszawie? (Alfred podaje Adelinie rękę, wychodzą).

NATALJA
(do Maryi).

Daj się namówić, kochana Maryo, będzie nam z tobą weseléj.

MARYA.

Nie wymawiam się dzisiaj, bo chcę właśnie jechać do Warszawy, aby widzieć mojego brata! (wszyscy się kłaniają, żegnają i wychodzą, prócz księcia).

SCENA VII.

KSIĄŻĘ i MARYA.

KSIĄŻĘ
(stoi z wyrazem głębokiego smutku i założonemi rękoma na piersiach, patrząc na Maryę).

O! nieszczęśliwa istoto! aniele poświęceń i cnoty! co ja mam zrobić, żeby cię widzieć szczęśliwą!

MARYA
(podaje mu rękę).

Szlachetny i zacny przyjacielu! im więcéj czuję

me serce osierocone, tem więcéj... tem więcéj... (zatrzymuje się z namysłem) zapełnia je wdzięczność dla ciebie panie!

KSIĄŻĘ
(trzymając rękę Maryi).

O, Maryo! pamiętaj o mnie!.. pamiętaj o tem, jak ja ciebie kocham! pamiętaj, że ja już dziś nie mógłbym żyć bez ciebie!... jeżeliby miała kiedy przyjść chwila, gdziebyś samotną pozostała!... (zarzuca ręką włosy na tył) ach! nie śmiem tego dziś wymówić... jakażby ona szczczęśliwą była dla mnie! (całuje ją w rękę.)

MARYA
(spokojnie z godnością).

Moim najświętszym dzisiaj obowiązkiem jest ratować od zguby męża i ojca mego dziecka, poświęcając im własne moje szczęście! wszystko ku temu jestem gotowa zrobić! jadę do Warszawy, aby porozumieć się z bratem, tam się obaczymy! a teraz niech książę wraca do zebranego towarzystwa, gdzie nieobecność twoja mogłaby zadziwić wszystkich.

KSIĄŻĘ.

Jeżeli pani pozwolisz, to przyjdę dzisiaj wieczorem po jéj rozkazy? (kłania się i odchodzi.)

MARYA
(sama).

O! jakże to jest niebezpieczne dla kobiety z sercem, tak być kochaną!.. (zasłania sobie oczy rękoma.)

(Kurtyna zapada).

KONIEC AKTU IV.

AKT V.

(W Warszawie, w pałacu Alfreda.)

SCENA I.

(Salonik mały elegancki, drzwi dają na terasę do ogrodu, dwoje mniejszych po bokach, duży długi szeslong do leżenia, przy nim zwierciadło stojące do ubierania z przeciwnéj strony stolik okrągły i fotele.)

MARYA — JULJA — późniéj ZDZISŁAW.

MARYA
(w białéj negliżowéj muslinowéj sukni).

Cóż mówisz, droga Juljo, na to, że idę na bal maskowy? Alfred przyrzekł mi święcie, że mnie zaraz o dwónastéj do domu odprowadzi!... jak tu nie iść?... ale wy musicie ze mną iść, bo on obiecał zaprowadzić Natalję.

JULJA
(na boku).

Żeby tylko Natalję!

ZDZISŁAW
(wchodzi i całuje siostrę).

Droga siostro! nie mogę jeszcze dosyć nacieszyć się Warszawą i wszystkiemi znajomymi! twój tylko smutek był czarną plamą na mojim niebie!

MARYA
(żywo).

Kochany Zdzisławie! dzisiaj jakaś nadzieja zabłysła! posłuchaj! wyjeżdżając, Alfred przyszedł żegnać się ze mną, zastał klęczącą i łzami zalaną przy kołysce, spojrzał na mnie i na dziecko, mówiąc: „Maryo! ja nie jestem tak złym, jak tobie się zdaje! i święci mieli pokusy, a potem jednakowoż nawracali się.“ Padłam mu do nóg, mówiąc: „Alfredzie, podaj mi sposobność, a w ogień pójdę, żeby cię wyrwać z téj otchłani.“ Zamyślił się głęboko, raptem podał mi rękę, mówiąc: „Maryo! chcesz mnie ratować, to przyjdź dziś na bal maskowy, a wtenczas ja cię odprowadzę do domu!“

ZDZISŁAW
(żywo).

A więc, Maryo, idźmy! niech twoja przytomność przypomni mu obietnicę!

JULJA.

Kiedy Zdzisław tego zdania, idźmy przygoto-

wać nasze ubranie i postarać się o drugiego towarzysza! (wychodzą.)

SCENA II.

ZDZISŁAW sam — późniéj ALFRED i KSIĄŻĘ.

ZDZISŁAW.

Biedna siostra! babka prawdę jéj przepowiedziała! dziś jak wątła gałązka bluszczu, wije się i chwyta swojego krzyża! oby tylko za rychło nie zwiędła!... (stoi zamyślony.)

ALFRED
(wchodzi ożywiony, wesoły, rzuca się w objęcie Zdzisława).

Kochany Zdzisławie, wszędzie szukam ciebie od kilku godzin, Warszawa pełna twego przybycia, każden się pyta: „widziałeś Zdzisława?“

ZDZISŁAW
(smutno).

Prawda, wielka była to radość widzieć całą rodzinę i ciebie, kochany Alfredzie, ale!.. ale!..

ALFRED.

Cóż tam znowu masz za „ale?“ byłeś zawsze człowiekiem energii i odwagi a teraz wyglądasz jak z krzyża zdjęty!

ZDZISŁAW.

Widzisz, bo mam siłę i odwagę dla wszystkich moich własnych cierpień, ale nie mam jéj dla tych, których kocham a cierpią!

ALFRED.

Taki jesteś niejasny i zagadkowy, że wcale niedomyślam się, o co chodzi?

ZDZISŁAW.

Alfredzie! (podaje mu rękę) z tymi, których kocham, zawsze jestem szczery i otwarty!... powiem ci bez ogródki!.. Marya jest bardzo nieszczęśliwa! ona to życiem przypłaci!

ALFRED
(z łagodnością, kładzie mu rękę na ramię).

Mój Zdzisławie, ktoś ci z ziarnka piasku usypał górę! prawda, że ty, coś spokojnem szczęściem twoję wiosnę rozpoczął, nie tak łatwo zrozumiesz, co to jest ten ogień (mówi z zapałem i chwyta się za piersi) młodości, co tu pali, a którego gwałtowne dopiero burze mogą wyziębić! poczem, jak w przyrodzie, ustają wolno i żegnają oddalonemi błyskawicami.

ZDZISŁAW.

To, co tak malowniczo opisujesz, właśnie cię oskarża, kochany Alfredzie, bo jak dla ciebie,

tak i dla mnie, dawno błyskawice te zgasły a nastały chwile dojrzałéj powagi!

ALFRED
(podając rękę Zdzisławowi).

Bądź spokojny, kochany Zdzisławie, napojony twoją radą i zasadami, silniejszym będę w zachciankach i pokusach światowych! (odchodzi.)

ZDZISŁAW
(zamyślony).

Coza legkomyślny charakter przy tak dobrym sercu!

SCENA III.

ZDZISŁAW — KSIĄŻĘ.

KSIĄŻĘ.

Właśnie szukałem pana, szczczęśliwy jestem, że cię tutaj spotykam! gorąco pragnąłem mówić sam na sam.

ZDZISŁAW.

Miło mi będzie, jeżeli w czemkolwiek będę mógł księciu być użytecznym!

KSIĄŻĘ.

Te słowa dodają mi odwagi wystąpienia z proś-

bą, która jest wielkiéj wagi dla mnie, chciałem prosić pana, abyś mi sekundował w pojedynku!

ZDZISŁAW
(przerażony).

Jakto! książę chcesz się pojedynkować? czy to nie może być zmienione?

KSIĄŻĘ.

Nie, nie może!

ZDZISŁAW.

Nie ma żadnego sposobu zgody?

KSIĄŻĘ
(porusza głową).

Nie ma żadnego, bo nie jestem ja osobiście dotknięty, tylko człowiek podły rzuca potwarz na osobę, którą czczę i cenię więcéj, niż moje własne życie!

ZDZISŁAW
(zadziwiony).

Więc to matka? albo siostra?

KSIĄŻĘ
(porusza głową).

Nie moja!

ZDZISŁAW.

A czyja?

KSIĄŻĘ.

Twoja, panie!

ZDZISŁAW
(z zadziwieniem).

Marya?! ją ktoś oczernia? ah! to istotnie musi już być bardzo podły człowiek!... (podaje mu rękę) ktokolwiek on jest, służę ci przyjacielu!

SCENA IV.

Ciż sami — MARYA — JULJA — SŁUŻĄCY.

(Jolanta wnosi kostiumy, kładzie je na krzesło i odchodzi.)

JULJA.

A więc idziemy, Zdzisławie? (spostrzega księcia) A to książę prawdziwie spadł nam jak z nieba! my właśnie szukamy drugiego towarzysza!

KSIĄŻĘ
(kłania się nizko).

Jestem na rozkazy! i służę paniom z rozkoszą!

MARYA.

Ja idę, ale na bardzo krótko, bo Alfred obiecał odprowadzić mnie już o dwunastéj.

KSIĄŻĘ
(na boku).

Co to znaczy?... ja słyszałem zupełnie co innego!... Leon mówił, że lęka się największych ostateczności!... ucieczki!... a nawet podania rozwodowego, które Janusz w swojéj zemście sam miał redagować!

JULJA
(ogląda z Maryą ubiory, Julja podaje księciu beret, mówiąc).

Dla księcia z czerwonym piórem, bo nasze płaszczyki mają czerwone kokardy!

MARYA.

Wiem, że Alfred będzie miał białe pióro!

JULJA.

Maryo! ubierajmy się co prędzéj! już wielki czas! (wszyscy zaczynają brać na siebie kostiumy, panowie czarne peleryny i czarne hiszpańskie berety, panie biorą na suknie płaszczyki z kapiszonami, wszyscy nakładają maski).

MARYA.

Ktoby mi był powiedział, że ja będę na balu maskowym.

JULJA
(staje przed zwierciadłem i śmieje się).

Jak to okropnie wygląda! nikt nas nie pozna!

ZDZISŁAW
(dzwoni na służącego, który wchodzi).

Czy kareta zajechała?

SŁUŻĄCY.

Zajechała! (odchodzi).

ZDZISŁAW.

A więc jedźmy! (podaje rękę żonie i wychodzi).

MARYA
(do siebie).

Nie wiem dlaczego, ale mnie tak serce mocno bije, w ostatniej chwili tracę odwagę! (książę podaje jéj rękę i wychodzą — kurtyna zapada na chwilkę dla zmiany dekoracyi).

SCENA V.

(Scena wyobraża pokój dla dam, trochę przyciemniony, zwierciadło stoi do ubierania, kanapa, krzesła, w środkowéj ścianie trzy duże arkady, za niemi sala balowa, gdzie maski ciągle przechodzą, w głębi przygrywa orkiestra różne tańce.)

OSOBY:

ALFRED — LEON — JANUSZ — ADELINA — MALWINA — NATALJA (w maskach wchodzą bocznemi drzwiami) późniéj MARYA — JULJA — ZDZISŁAW — KSIĄŻĘ.

(Alfred i Leon mają duże, białe pióra, Adelina i Malwina białe domina, na głowie koronkowe czarne mantyle, Janusz i Natalja zupełnie czarno).

JANUSZ.

Bardzo dobrze, żeśmy głównemi drzwiami nie weszli, tu panie mogą poprawiać jeszcze swoje toalety!

NATALJA
(zbliża się do głównych drzwi).

Zdaje mi się, że będzie kontredans, jakiś kadryl występuje! (za arkadami maski przechodzą).

MALWINA
(poprawia ubiór przy zwierciadle).

Ja już gotowa! idźmy na rekonesans! musimy szukać, le prince charmant! pewno będzie przebrany jako Karol ponury i odważny!

NATALJA.

Albo jak rycerz z ballady Odyńca uzbrojony, aby wykraść swoję bohdankę!?

LEON.

Wiem ja wiem, wiem o projektach ucieczki, ale nie księcia!

NATALIA.

Powiedz mi pan, powiedz, je vous en conjure, ja sekretu dotrzymam!

LEON.

O! nie! nie mogę powiedzieć! i mam nawet nadzieję, że to nie przyjdzie do skutku! — A teraz idźmy, bo zaczynają kadryla! (Leon i Janusz biorą damy pod rękę i idą na salę, Alfred i Adelina stoją przed zwierciadłem, ostatnia układa koło głowy koronkową mantylę, pod którą leżą przypięte strojne kwiaty).

ADELINA
(zdjęła maskę).

J'étouffe! a tu nikt nie przyjdzie! wypocznę, aby chwilę!

ALFRED
(zdjął także maskę, drgnął, olśniony widokiem Adeliny).

Jakaś ty piękna, Adelino!.. wszystko można zapomnieć przed blaskiem twoich oczu! (bierze ją za rękę) Cóż to za kara Boża dla mnie, żeś ty taka urocza!

ADELINA
(patrzy na niego zalotnie).

Taką jestem, żebyś mnie kochał Alfredzie!.. taką jestem, ażebyśmy szczęśliwi byli, jak dwunasta wybije!

ALFRED
(przerażony wstrząsł się cały i wziął ręką czoło).

Prawda!.. (mówi jak nieprzytomny) jak dwunasta wybije!..

ADELINA
(kładzie mu rękę na ramię i wpatruje się w niego namiętnie)

Szczęście nasze się zacznie, uchodźmy daleko od świata, którego gwar razi serca, co się kochają!.. uchodźmy tam, gdzie tylko drzewa, kwiaty, niebo, gwiazdy będą świadkami naszego szczęścia!...

ALFRED
(widocznie walczy ze sobą, zarzuca włosy ręką na tył i mówi na boku)

O, Boże! Zdzisławie! żebyś widział jaka ona piękna! żebyś widział, jak ona mnie kocha! żebyś czuł, jak ja już słabnę!.. jakiéj to siły trzeba, żeby z takich rąk wyrwać mogła człowieka!.. O, Boże! ja przecież żonie obiecałem powrócić do domu!.. O! ja nędzne stworzenie!.. (odwraca się do Adeliny) Adelino!.. co ty ode mnie żądasz? ja mam żonę! ja mam syna!.

ADELINA
(namiętnie i groźno)

Alfredzie! pamietaj co ja ci poświęciłam!.. przypomnij sobie chwilę, kiedyś mi powiedział, że mnie jednę nad wszystko i nad wszystkich kochasz!.. pamiętaj, coś mi przed tą chwilą obiecał!.. (mówi coraz groźniéj) przypomnij sobie, że ci wtenczas uwierzyłam!... że dlatego obiecałam wszystko dla ciebie porzucić!.. świat co mi hołduje!.. bogactwa co się na mnie gradem sypią!..

a kiedy ja, tyle złota, tyle klejnotów razem z hołdem tylu serc depcę dla ciebie nogami (wskazuje ręką ziemię), ty!.. ty się wahasz i nie chcesz słowa dotrzymać!..

ALFRED
(klęka i bierze ją za rękę).

Adelino! przebacz! (w téj chwili ukazują się w bocznych drzwiach Julja, Marya, Zdzisław, Książę w maskach, Alfred odwrócił się, powstaje raptem i nakłada z Adeliną maski) O, Boże! czerwone pióra! to oni!..

SCENA VI.

Ci sami — JULJA — MARYA — KSIĄŻĘ — ZDZISŁAW.

MARYA
(poznała męża).

Białe pióro!... to mój mąż! (do Alfreda) Alfredzie! kazałeś mi przyjść, jestem!... przyszłam nie dla siebie, ale dla ciebie!... będę cię czekać tutaj do dwunastéj!...

ALFRED
(na boku).

Przebóg!... co ja pocznę?!...

MARYA
(do Adeliny, biorąc ją za Natalję).

Zaraz cię poznałam, kochana Nataljo!

ADELINA
(zadziwiona).

Nataljo?!..

JULJA
(do Adeliny).

Czy byłaś już, Nataljo, na salonie? (Adelina pokazuje głową, że nie) My idziemy na chwilę, aby Maryi pokazać ten ruch, ten zgiełk, którego ona nigdy nie widziała!

MARYA
(do Alfreda).

Alfredzie, idę, ale o saméj dwunastéj stawię się tutaj, ażeby za tobą czekać!

ALFRED
(żywo i pomięszany).

Maryo!... bo widzisz... może, iż się trochę zpóźnię... bo... bo kolacya dla tych pań obstalowana na dwunastą!... (potem bierze Zdzisława za rękę, odciąga na bok i mówi) Zdzisławie!... jeżeli masz rewolwer, strzel mi w serce!... jestem bez zmysłów!... odurzony!... za słaby!... a nie chciałbym żyć znańbiony!...

ZDZISŁAW.

Alfredzie! odwagi!... przecie jesteś mężczyzną!... małżonkiem!... ojcem!... pójdziemy razem z tobą i będziemy stróżami twego prawdziwego szczęścia!

ALFRED.

Zaraz idziemy za wami! (wszyscy odchodzą, prócz Alfreda i Adeliny.)

SCENA VII.

ALFRED — ADELINA — późniéj LEON — NATALJA — JANUSZ i MALWINA.

ADELINA
(groźno).

Co to wszystko znaczy?...

ALFRED
(niby obojętnie).

O! nic, to nic! te panie przyszły na chwilę ze Zdzisławem, bo nigdy balu maskowego nie widziały!

LEON
(wchodzi ze sali z Malwiną, Janusz z Natalją).

Szukam was bo kolacya gotowa! (Adelina rozmawia z Malwiną i Natalją, Alfred pociągnął Janusza na bok i mówi).

ALFRED.

Januszu! ratuj!... zgubiony jestem!... co teraz robić?... widziałeś?... Marja przyszła!...

JANUSZ.

Ja cię już wyratuję! wiesz, że zawsze mam dobrych rad pełne kieszenie!

ALFRED.

Nierozważnie obiecałem dziś Maryi, że o dwunastéj odprowadzę ją sam do domu, a to właśnie będzie godzina kolacyi!... o, Boże!... (na boku) czy ja potrafię się oprzeć.

JANUSZ
(legko).

To bardzo łatwa rada!... oto tak zrób'!... (mówi coś do ucha) czy nie będzie doskonale?!

ALFRED.

Co za szatańska myśl!... (zamyślony) w każdym razie nie ty!...

LEON
(patrząc na zegarek).

Panowie! już czas na kolację! (wszyscy biorą się pod rękę i wychodzą prawą arkadą, muzyka gra porywające tańce, po chwilce lewą arkadą wchodzi Julja i Marya).

SCENA VIII.

MARYA — JULJA — późniéj ALFRED.

JULJA

Marjo! odwagi! (Marya zdejmuje maskę i rzuca się na kanapę).

MARYA.

Juljo! ja nie dożyję do dwunastéj!... mnie już wszystkie siły opuszczają! (opiera się na kanapę i bierze za serce).

JULJA.

Maryo! Maryo! odwagi! chwila stanowcza nadchodzi!

MARYA.

A jak nie przyjdzie?

JULJA.

Ależ przyjdzie!

MARYA.

Widzisz Juljo! jaką kobieta jest słabą i wątłą istotą! (zamyślona) Ja szukałam i chwytałam się opieki Alfreda, bo zdaje mi się, że nie ma dość silnéj pokusy, któraby wtrącić potrafiła kobietę w przepaść, kiedy ją mąż od niéj wstrzymuje!... (w téj chwili zegar bije dwunastą).

JULJA.

Dwunasta!

MARYA
(bierze się za serce).

O, Boże! jak mi serce bije! (we drzwiach głównych ukazuje się Alfred, zwolna zbliża się do środka, Marya zrywa się z kanapy) Ah! Alfred! (idzie ku niemu, on w milczeniu podaje jéj rękę, wychodzą bocznemi drzwiami).

Kurtyna zapada na chwilę, poczem muzyka ustaje.

SCENA IX.

(Przy podniesieniu kurtyny ukazuje się poprzedni salonik, drzwi szklanne na terasę, po prawéj długi szeslong do leżenia).

OSOBY:

ALFRED i MARYA.

(Idą ku kanapie, gdzie Marya zrzuca płaszcz i maskę poczem raptem klęka przed Alfredem, który równie zdjął maskę, ale ręką zakrywa twarz).

MARYA.

Alfredzie!... mężu!... daruj, że cię na chwilę posądziłam!...

KSIĄŻĘ
(spuszcza rękę, Marya poznaje go, przerażona wstaje raptem).

Pani! przebacz!...

MARYA
(przeraźliwym głosem).

Ach! to nie mój mąż!... (wzięła się za serce i pada zemdlona w objęcie księcia, który składa ją przy zbliżonéj kanapie).

KSIĄŻĘ
(przerażony).

Maryo! przebacz mi!.. o Boże! jaka blada!.. (klęka przy niéj) Maryo ty byłaś aniołem, którego żadna siła do złego wtrącić nie mogła!... (całuje ją po rękach) Maryo! przebudź się!... o! nie umieraj teraz, kiedy mi coś skrycie mówi tutaj... (wziął się za serce) że ty mnie kochasz! (Marya zaczyna się poruszać, bierze się za serce i głęboko westchnęła, potem przesuwa ręką po czole, drugą książę trzyma w swoich i całuje) O! nie, Maryo! ty nie możesz teraz umierać! (Marya przychodzi do przytomności, książę mówi do siebie) Ale jak jéj to będzie prawdę powiedzieć?... jak ten list pokazać?...

MARYA
(otwiera oczy, spostrzega księcia).

To nie mój mąż! (Marya podnosi się).

KSIĄŻĘ
(pomaga jéj do powstania).

Maryo! odwagi! to nie my rządzimy naszemi losami, tylko Bóg!

MARYA.

A gdzie jest Alfred?

KSIĄŻĘ
(wahając się).

Boże! jak tu powiedzieć prawdę?.. Pani! nie chciałbym powiedzieć ci prawdy!

MARYA
(spuszcza nogi z kanapy i siada, mówi żywo z rozkazującym gestem).

Ja chcę wiedzieć prawdę!

KSIĄŻĘ
(składa ręce do prośby).

Maryo! zapomnij go!.. już go nie ma w Warszawie!..

MARYA
(zakrywa oczy).

Ach! ja tego nie przeżyję!

KSIĄŻĘ.

Mam jeszcze zlecenie od Alfreda! ale nie śmiem o niem mówić.

MARYA
(zbierając widocznie siły).

Jakie zlecenie?.. mów' książę!

KSIĄŻĘ.

Boleśne dla ciebie pani, ale może teraz otwiera się ścieżka, która prowadzi do szerokiéj szczęścia drogi! (wydobywa duży list) Przykro mi, że Alfred właśnie mnie dał to zlecenie, ale oddając mówił: „wiem, że ty jéj nigdy nie opuścisz.“ (Książę rozwinął list i mówi z widocznym wzruszeniem) To jest.. to jest... do podpisu... akt rozwodu!...

MARYA
(zrywa się raptem, z gestem godności i zgorszenia, oddala ręką papier, mówiąc silnym głosem).

Nie podpiszę!

KSIĄŻĘ
(klęka przed nią),

Maryo! podpisz!.. dla twego i mego szczęścia zaklinam się, podpisz! (wstaje).

MARYA
(trzyma się chwiejąca kanapy).

Książę zapomniałeś, że ja mam syna!... że noszę jego nazwisko!.. i, że to muszę utrzymać nieskalane!.. (poczem siada na kanapę jak złamana)

KSIĄŻĘ
(załamuje ręce).

Maryo! patrz na mnie! i zlituj się nademną! podpisz!.. bo ja dziś już bez ciebie żyć nie mogę!.. (bierze ją za rękę).

MARYA
(zwisła na półleżąca na kanapie).

I ja żyć nie będę!... i żyć nie mogę!...

KSIĄŻĘ
(z przerażeniem).

Dlaczego?

MARYA
(słabnąc, mówi półgłosem).

Bo ja już nadto zawiniłam.

KSIĄŻĘ.

Ty!? aniele!

MARYA
(leży cała na kanapie, mówi coraz wolniéj).

Nie... ja żyć... nie mogę... i nie chcę!

KSIĄŻĘ
(podtrzymuje zwisłą jéj głowę).

Dlaczego, Marjo?

MARYA
(chwyta się raptem za serce, wydaje przeraźliwy krzyk i mówi).

Ah!... bo ja ciebie, Gustawie, pokochałam! (zamyka oczy i mdleje).

KSIĄŻĘ
(z przerażeniem).

O, Boże! ona umiera! (w téj chwili, przerażeni wy-

k· ykiem Maryi, wbiegają bocznemi drzwiami Julja, Zdzisław i Jolanta).

SCENA X. i ostatnia.

Ci sami — JULJA — ZDZISŁAW — JOLANTA i DOKTÓR.

JULJA
(wbiega i pada na kolana przed Maryą).

Maryo! (odwraca się do Jolanty) Doktora! (Jolanta wychodzi i powraca wkrótce) Marjo! (Zdzisław stoi przed siostrą przerażony).

MARYA
(otwiera wolno oczy, mówi z wysileniem i przestankami).

To ty Juljo? (pokazuje na serce) Już bić... przestaje... (oddycha głęboko) Juljo!... czuję, że umieram!... księdza!... (Jolanta znowu wybiega po księdza) Już nie obaczę matki!... nie obaczę dziecka!... że... gnam... ciebie... Juljo!... bra... cie!... i ciebie... przy... jacielu!... (wyciąga rękę do księcia, a wtem wydaje okrzyk) Ah! Boże!... (głowa jéj zwisła, książę oczy ręką zasłonił i płacze, Julja i Zdzisław klęczą przy niéj).

DOKTÓR
(wchodzi, bierze ją za rękę).

Już jéj między nami nie ma!..

(Książę rzuca się na jej ręce i całuje z rozpaczą, po czem powstaje raptem, podaje po kolei Julji i Zdzisławowi rękę i odrazu, nie odwracając się, wybiega na ganek, gdzie drzwi były otwarte, w téj chwili słychać wystrzał z pistoletu i odgłos ciała, które pada).

JULJA.

Ach! (chowa rękoma oczy, doktór ku drzwiom wybiega, spojrzał i zaraz wraca na scenę).

DOKTÓR.

Już i jego nie ma! są tam oboje razem!..
(podnosi oczy do góry).

(Kurtyna zapada.)

KONIEC.